

str. 3
nie filantropia,
lecz obowiązek
S. Ancerewicz

KATOWICKIE:
zatrudnianie a mieszkanie
J. Rewkiewicz str. 5

Łatwiej
kupić
niż zreperować
str. 7
E. Adamkiewicz

MIĘDZYNARODOWA
WSPÓLPRACA
SUROWCOWA?
J. Kranz str. 10

E. Możejko
BOLIWJSKI
PRZEWROT
str. 11

ŻYCIE

NR 32 GOSPODARCZE

10 SIERPNI 1980 R.

ROK XXXV

CENA 6 ZŁ

DUŻE WŚRÓD MAŁYCH

JACEK DŁUGOŁĘCKI

W żywej dyskusji wokół rozwoju drobnej wytwórczości, która toczyła się w ostatnich latach na łamach prasy — m.in. w „Życiu Gospodarczym” — wielu autorów zwracało uwagę na pozytywne efekty współpracy dużych przedsiębiorstw z małymi. Przykłady licznych krajów wskazują, że właściwie ukształtowana symbioza wielkich zakładów z drobnymi decyduje często o możliwości rozwijania produkcji różnorodnej i dobrej jakościowo, zmieniającej się szybko stosownie do potrzeb odbiorców.

Szczególnie znanym przykładem jest tu Japonia, gdzie wielkie firmy kooperują z milionami drobnych zakładów, czy wręcz warsztatów typu rodzinnego, co daje im dynamizm, innowacyjność a także niższe koszty produkcji, pozwalające wyrobić japońskim konkurentów na światowych rynkach z produktami najwyższej jakości.

Trudno oczywiście przenosić te wzory żywca na polski zgola odmienny grunt. Tym niemniej wydaje się, że w odpowiednich nasze miary i potrzeby proporcjach obrastanie w małe zakłady bardzo przydałoby się wielu naszym przemysłowym kolosom. Zarówno w dalszej perspektywie, jak i na dziś, kiedy mogłoby się ono stać lekar-

stwem na niedobór dziesiątków drobnych detali i innych elementów kooperacyjnych oraz likwidację — małym kosztem — różnych wąskich przekrojów, uniemożliwiających pełne wykorzystanie nowoczesnego majątku produkcyjnego.

Radzić sobie własnym przemysłem

Dlatego chciałbym przedstawić czytelnikom „Życia Gospodarczego” pewną koncepcję działania organizacyjnego, możliwą do zastosowania w naszych warunkach, a nakierowaną na pokonywanie niektórych aktualnych trudności kooperacyjno-zaopatrzeniowych własną inicjatywą i przedsiębiorczością zakładów. Przedstawiony poniżej projekt nie pretenduje do doskonałości, możliwe są niewątpliwie inne szczegółowe rozwiązania, byleby służyły tej samej idei.

Moja koncepcja nawiązuje do przykładu japońskiego — tworzenia małych zakładów, czy warsztatów pracujących na potrzeby dużego przedsiębiorstwa-matki na maszynach bądź wypożyczonych, bądź zakupionych od niego. W pierwszym przypadku byłby to po prostu znany u nas, lecz zarzucony przez niektórych galazie przemysłu system nakładek, który ma tę zaletę, że po-

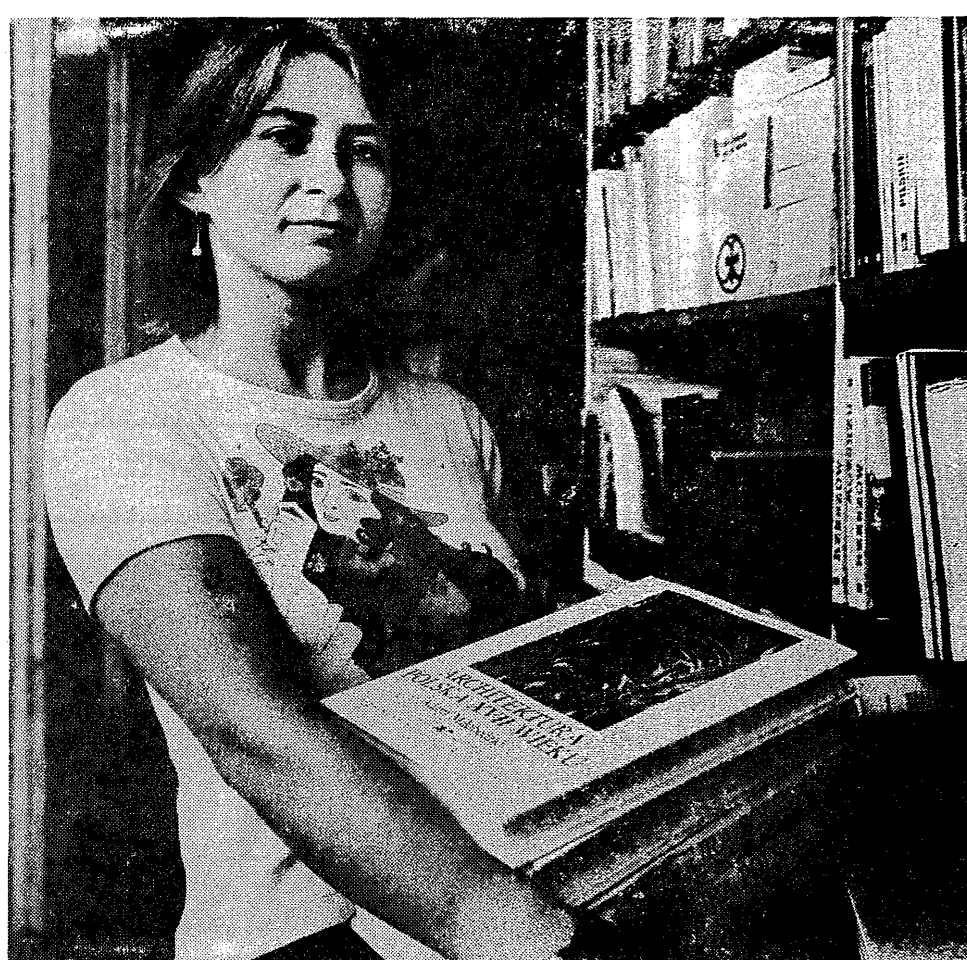
siada już określony status prawny, mógłby więc być wprowadzony w życie szybko, bez zmiany obowiązujących przepisów. Druga forma — tworzenie zakładów, czy warsztatów pracujących na potrzeby dużego przedsiębiorstwa, lecz na własny rachunek i na maszynach wykupionych na raty, czy na kredyt wymagałaby określenia zasad finansowych, na jakich miałyby się odbywać, ale jest to wszak trudność do pokonania... Sądząc, że zastosowanie obu tych form jest realne, oczywiście tam, gdzie pozwala na to sama natura procesów technologicznych. Ze względu na ograniczone możliwości surowcowe, lokalowe, kadrowe należałoby je jednak wprowadzić przede wszystkim do tych zakładów, które wytwarzają artykuły najbardziej na rynku poszukiwane i mają szansę zwiększenia dobrej jakościowo i opłacalnej produkcji na eksport. Poszerzenie ich możliwości produkcyjnych tą właśnie drogą nie wymagałoby tzw. nakładów „na mury”, co jest obecnie atutem o wielkiej wartości. Dodatkowe zalety wprowadzenia szerszym frontem systemu nakładztwa to szansa wykorzystania odpadów, czy nadwyżek surowców lokalnych, a także zatrudnienia części pracowników zwalnianych z przedsiębiorstw w celu zmniejszenia i usprawnienia administracji.

Jestem przekonany, że idea tworzenia działów nakładczych w przedsiębiorstwach zyskałaby daleko idące poparcie samorządów robotniczych i całych załóg. Chodzi wszak o uwolnienie ich od nekającej szarpaniny powodowanej nierytmicznym zaopatrzeniem w detale i podzespoły. Jest oczywiście zrozumiałe, że program rozwoju nakładztwa powinien zmierzać w stronę zaspokojenia najistotniejszych dla przedsiębiorstwa potrzeb produkcyjnych.

Trochę szczegółów

Narzuca się pytanie, gdzie tę dodatkową produkcję zlokalizować?

DOKOŃCZENIE NA STR. 2



W najbliższych latach księzek na rynku ma być więcej, ale nielato będzie to osiągnąć (czyt. str. 4). Na zdjęciu: Lilianna Dziurzyńska z księgarni „Warszawianka” przy pl. Dzierżyńskiego w Warszawie. Fot. T. MÜLLER

ŁATWIEJ NARZEKAĆ NA NIEDOSTATKI...

ALEKSANDER JĘDRZEJCZAK

Trudno dziś znaleźć gałąź lub dziedzinę produkcji, w której by nie narzekano na chemię. Prawie wszystkim niedostatek chemicznych wyrobów w czymś przeszkadza, coś utrudnia i hamuje, naturalną rzeczą kołają lamente przytęka się pytaniami: Dlaczego tak? Jak mogło do tego dojść? Kto winien? Byłoby przesadą twierdzić, że wszystkie tego rodzaju pytania formułuje się powściągliwie i zwięźle. Bywa inaczej.

RELACJĘ o potrzebie i możliwościach polepszenia gospodarki materiałowej w przemyśle chemicznym zacząć więc wypada od szkieletu chociażby odpowiedzi na często dziś powtarzane pytania. Kompetentny w tych sprawach jest mgr inż. Wiesław Kołsut, dyrektor Departamentu Postępu Techniki w MPCh:

— Program chemizacji gospodarki narodowej, opracowany na początku lat siedemdziesiątych, był wprowadzanie zbilansowany surowcowo wewnątrz resortu, dawał jednak zdecydowane pierwszeństwo produkcji zaopatrzeniowej. W ówczesnej sytuacji było to słuszne. Starając się sprostać potrzebom gospodarki resort zdecydował się, między innymi, zwiększyć importochłonność produkcji, licząc że w ciągu paru lat, w miarę realizacji programu, osiągnie stan wewnętrznej równowagi. Uwzględniona w programie modernizacja istniejących zakładów miała ułatwić likwidację napięć surowcowych.

Trafiona z dwóch stron

Począwszy od roku 1973 warunki realizacji programu gwałtownie za-

czyły się komplikować. „Eksplodowała” rosy napływowa i praktycznie wszystkich innych surowców, trafiała chemię poniekąd z dwóch stron. Z jednej — drastycznie ograniczyła możliwości importu, z drugiej — przyczyniając się do wzrostu różnorodnych napięć w całej gospodarce narodowej wymuszała daleko idące zmiany nie tylko w skali przyjętego programu, ale i w sposobach jego realizacji. Od roku 1976 trudno już właściwie mówić o jakimś systemowym działaniu w tym zakresie. Doraźne potrzeby spowodowały wiele posunięć, które niekorzystnie odbiły się na gospodarce surowcowej chemii.

Można to zilustrować przykładem z dziedziny inwestycji. Polityka licencyjna resortu zmierzała głównie do szybkiego zwiększania produkcji zaopatrzeniowej i rynkowej (wyróbny rafineryjny, nawozy, tworzywa sztuczne, włókna syntetyczne, opony, tkaniny powlekane, płytki podłogowe, tapety...). Zakupy licencji uzupełniających te kompleksy były znikome. Wdrażanie rodzinnych rozwiązań też najczęściej nie dochodziło do skutku. Wielkie kompleksy zaopatrzeniowe, przy szybko rosnących kosztach ich realizacji, „wymiatły”

z planów uzupełniające inwestycje surowcowe, prowadząc do powstania poważnych napięć bilansowych w samej chemii — pozbawiły ją prawidłowo rozwiniętej bazy półproduktów, środków pomocniczych i specyfików, tak zwanych produktów średnio- i małowartościowych.

Inną, wcale nie bliłą przyczyną dzisiejszych trudności była polityka licencyjna innych resortów gospodarczych. Z dużą regularnością powtarza się proceder następujący: w trakcie wstępnych ustaleń licencyjny nabytek nie wymaga wielu nowych materiałów czy specyfików chemicznych, po zawarciu kontraktu ujawniają się potrzeby idące w dziesiątki i setki produktów.

— Zadnej licencji — mówi dyrektor Kołsut — kupowanej przez inne resorty nie skoordynowano należycie z możliwościami przemysłu chemicznego.

Przyczyn dzisiejszych trudności wyliczyć by można wiele, ale darujmy to sobie. Naprawdę ważne jest to, że nie da się ich wyeliminować w czasie krótszym, niż 5 — 10 lat.

Jedyną pewną szansą polepszenia sytuacji wewnątrz resortu, a tym samym stopniowego łagodzenia niedoboru produktów chemicznych w ca-

łej gospodarce, jest bardziej efektywne wykorzystywanie krajowych i importowanych surowców.

Opinie o normatywach i normach

Jednym z elementarnych sposobów polepszenia gospodarki surowcami i materiałami jest normowanie ich zużycia. Często się teraz o tym przypomina i oczekuje się sporo od doskonałości obowiązujących norm. W chemii jednak źródło to nigdy nie było zbyt obfite. Nie mogło być. Unaczni to „przykład prymitywny” wprowadzić, lecz obrazowy, jasny. W przemyśle lekkim normy zużycia np. poliakrylonitrylu zmieniają się (powinny się zmieniać) zależnie od tego, czy moda nakazuje wytwarzać sweterki dłuższe, czy krótsze, z gołębem, płytszym lub głębszym dekoltem, długim lub krótkim rękawem, z paskiem, nakładanymi kieszeniami itp. W fabryce chemicznej proporcje surowców potrzebnych do wytwarzania poliakrylonitrylu są w zasadzie stałe. Przekroczenie wąskich granic, wyznaczonych formułą chemiczną, daje inny produkt, niekoniecznie przydatny do czegośkolwiek. Normy zużycia można zmienić, gdy znajdzie się sposób polepszenia sprawności procesu, albo opracuje nową technologię.

Oczywiście, zdarzają się błędy w obliczeniach, czasem praktyka ujawni możliwości przeoczone przez projektantów, kadra zakładowa jest też dostatecznie zdolna, aby gdzieś tam jednak wkalkulować drobny „zaokrąglacz”. W zasadzie sama istota produkcji chemicznej wymusza stosowanie rzetelnych norm zużycia surowców. System ich opracowywania i zatwierdzania doskonalony jest od lat, objęto nim właściwie wszystkie

surowce, ilość stosowanych norm sięga stu tysięcy.

Przed paroma laty uznano, że system normowania w przemyśle jest nadmiernie zdecentralizowany, że potrzebne są ściślejsze związki norm z jednostkami zużycia ujmowanymi w planach branżowych i centralnych. Stworzono wtedy system tak zwanych „normatywów zużycia”, które stanowią średnio ważne, zagregowane wielkości zużycia surowców i materiałów szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej. W planistycznych założeniach normatywy miały służyć do określania potrzeb materiałowych i oceny materiałochłonności produkcji. Podstawą opracowywania normatywów są normy zużycia surowców.

Ocenia się to przedsięwzięcie różnie.

— Potrzeba opracowania i stosowania normatywów — mówi dyrektor Kołsut — w różnych resortach z pewnością jest różna. W przemyśle chemicznym, poza objęciem przez jednostki wyższego szczebla kontroli norm jako składnika normatywów, nie wniosła wiele nowego. Unaczniła jednak różnice w ilościach surowców zużywanych w różnych zakładach do tych samych celów.

W zakładach łatwo usłyszeć opinie mniej ogledne: „Zawracanie głowy, centralne bilanse sporządzane na podstawie średnich normatywów muszą się rozsypanywać chociażby z powodu wielkich różnic w poziomie technologii. Jeśli w „Puławach” wysiadłaby linia amoniaku, to nawet gdyby w innych zakładach udało się strącić produkcją nadrobić zużycie surowców i energii byłoby zupełnie inne”.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

OPIEKA SPOŁECZNA NA WOLI

STEFAN ANCEREWICZ

Lata, w których opiekę społeczną oficjalnie uważano za instytucję schyłkową, niepotrzebną w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym, należą na szczęście do przeszłości. Już od dość dawna zrozumiano, że w istnieniu tej instytucji nie ma nic wstydliwego, odwrotnie — sprawną i dysponującą odpowiednimi środkami służba ludzi, którzy samodzielnie nie są w stanie radzić sobie w życiu, jest niezbędna w każdym społeczeństwie, które dąży do miarnej społeczności nowoczesnego. A jej działalność to nie filantropia, lecz obowiązek wszystkich wobec tych, którzy sami nie mogą utrzymać się na powierzchni.

NASZA opieka społeczna przed dwudziestu laty zespółniły organizacje z służbą zdrowia, a od lat około dziesięciu zmieniamy ją jakoś ciekawie, bezinteresownej pracy terenowych opiekunów społecznych nadając stopniowo charakter pomocniczy, zaś główny ciężar zadań składając na barki przygotowanych do nich zawodowo etatowych pracowników socjalnych.

Perspektywny program resortu zakłada, że do 1990 r. w każdym rejonie m. st. Warszawy będzie pracował zawodowy asystent socjalny, niestety, jego realizacja postępuje zbyt wolno — do czego wrócić jeszcze za chwilę. W każdym razie poprawia się rozeznanie środowisk i ich potrzeb, zwiększają się środki przeznaczone na działalność opiekuńczą, można więc mówić o stałym postępie, choć na pewno jest to postęp jeszcze niezadowalający. Ale działalność opieki społecznej, rodzaj i zakres środków pozostających do jej dyspozycji oraz zasięg jej oddziaływania pozostaje w zależności od ogólnego poziomu zaopiekuńczości społeczeństwa. Ten ostatni czynnik jest zwłaszcza wiele mówiący, gdy chodzi o ocenę poziomu życia przynajmniej niektórych grup ludności, a można też wyciągać wnioski o wiele bliższe prawdy niż z wielu innych danych statystycznych. Można też zastanowić się, czy optymalnie wykorzystujemy środki przeznaczone na pomoc społeczną.

W centrum uwagi — emeryci

Odpowiedź na pytanie, kim powinna zajmować się opieka społeczna jest nieskomplikowana, ale jednocześnie bardzo wieloznaczna. Ludzie potrzebujący pomocy mogą bowiem rekrutować się z różnych grup i warstw społecznych, a łączy ich tylko jedna wspólna cecha — niesamodzielność finansowa lub życiowa, które zresztą często idą w parze.

Przyjęta jako principium aktywna rola opieki społecznej polegająca na inicjatywie w wyszukiwaniu ludzi potrzebujących pomocy — przy szczupłym jeszcze aparacie zawodowych pracowników socjalnych — wymaga jednak skoncentrowania uwagi na wybranych grupach ludzi. Podstawą wszelkich działań musi być bowiem możliwie pełne poznanie potrzeb każdego środowiska.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że ogromną większość podopiecznych pomocy społecznej stanowią ludzie starzy. Statystyk z podziałem na grupy wiekowe podopiecznych wpraw-

dzie się nie prowadzi, ale dotychczasowe doświadczenia oparte na mocno jeszcze niedoskonałym rozpoznaniu środowisk i świadczeniach udzielanych ludziom, którzy sami przychodzą po pomoc, potwierdzają ten fakt jednoznacznie.

Według szacunkowych opinii co bardziej doświadczonych pracowników opieki społecznej, procent ludzi zaawansowanych wiekiem wśród osób korzystających ze świadczeń można oceniać różnie, ale najbardziej ostrożnie wymieniają w talcm przypadku liczbę 70, a niektórzy mówią o 90. Nic dziwnego więc, że program działania opieki społecznej zaleca przede wszystkim pełne poznanie potrzeb w środowisku ludzi w wieku poprodukcyjnym.

Na terenie stołecznego województwa warszawskiego zaawansowanie w realizacji tego pierwszego, programowego zadania jest bardzo różne. Sa ZOZ-y, jak np. Warszawa Praga-Północ, które zdołały już przebadać więcej niż połowę wszystkich środowisk emeryckich na swoim terenie, ale są i takie, w których odpowiedni wskaźnik nie przekracza 10 proc. W skali województwa można przyjąć, że pracownicy opieki społecznej dotarli do 20 proc. gospodarstw domowych emerytów i rencistów, przy czym średni wskaźnik dla samej Warszawy sięga 30 proc., a dla reszty województwa ociera się o 20 proc.

W warszawskiej dzielnicy Wola dział służb społecznych ZOZ-u rozciągał już warunki bytowania blisko połowy gospodarstw emeryckich. W liczbach bezwzględnych jest to około 15 tys. osób na ogólną liczbę 30 tysięcy, którą należy odnieść do 250 tys. mieszkańców dzielnicy. Wolę zamieszkuje nieco więcej niż przeciętnie ludzi w wieku poprodukcyjnym. Wśród wolskich emerytów i rencistów, do których dotarli asystenci socjalni, około 4 tys. powinno otrzy-

mywać pomoc z opieki społecznej i jest to sytuacja — jak się wydaje — dość typowa. W społecznych ośrodku opiekuna społecznego dowiedzieliśmy się bowiem, że przeciętnie 30 proc. tzw. nowo rozpoznanych środowisk emeryckich wymaga zajęcia się przez opiekę społeczną.

Na co ci ludzie mogą liczyć?

Opieka i pieniądze

Od kilku już lat pracownicy opieki społecznej różnych szczebli zgodnie twierdzą, że obok świadczeń natury czysto materialnej coraz większym problemem jest organizacja usług pielęgnacyjnych i bytowych dla osób niepełnosprawnych. Tymi pierwszymi zajmują się siostry pomocy PCK, drugie organizuje PKPS, ale w obu przypadkach popyt znacznie przewyższa podaż. Jest to po prostu niewdzięczna i według stawek przyjętych przez obie organizacje społeczne stosunkowo niska płatna praca, bo wynagrodzenie należy odnosić nie tyle do stopnia skomplikowania zadań, ile do uciążliwości w ich codziennym wykonywaniu. Nic dziwnego więc, że spośród kobiet, które kończą kursy siostr PCK, niewielki procent podejmuje potem pracę pielęgnacyjno-opiekuńczą, niewiele chętnych do wykonywania usług domowych ma też PKPS. Pozostaje liczyć na pomoc innych organizacji społecznych: harcerstwa, Ligi Kobiet, również związków zawodowych i innych, zaś profesjonalna opieka społeczna stara się w tym zakresie maksymalnie pobudzać i koordynować inicjatywy. Ale są to już działania czysto społeczne, a te — jak wiadomo — mają różne natężenie i regularność. Trudno więc na nich opierać organizację życia osób niepełnosprawnych, których potrzeby muszą być zaspokajane codziennie i niezawodnie i tu dotykamy problemu ogromnie trudnego do rozwiązania.

Może łatwiej byłoby go pokonać, gdyby cała infrastruktura usługowa w naszym życiu była lepiej rozwinięta, ale nie wolno też zapominać, że przy korzystaniu z pomocy odpłatnej wyrasta bariera środków materialnych. Jest ona czasem nie do przekroczenia nawet dla lepiej sytuowanych ludzi, których wiek lub choroba pozbawia samodzielności życiowej, nie mówiąc już o korzystających z pomocy finansowej opieki społecznej.

Ci ostatni mają dochody poniżej 2000 zł miesięcznie — jako granicę przyjęto najniższe uposażenie wypłacane w Polsce. Jeżeli są pozbawieni jakichkolwiek środków utrzymania mogą otrzymywać zasiłek stały w wysokości około 1400 zł miesięcznie, jeśli natomiast nie dostają znikąd stałych pieniędzy, mają natomiast rodzinne zobowiązania do alimentacji, dostają zasiłek okresowy przez 4 do 10 miesięcy w roku w niewielkie różniące się wysokości. Inni, którzy mają zapewniony stały dopływ środków finansowych, tyle że poniżej granicznej wysokości mogą otrzymywać zapomogi jednorazowe, często z określeniem przeznaczenia, w wysokości 1500 zł oraz pomoc materialną w naturze (odzież, obuwie) z PKPS. Z jednorazowej pomocy materialnej korzystają też ludzie otrzymujący zasiłki stałe lub okresowe.

Wracając do przykładu wolskiego ZOZ — w ubiegłym roku na pomoc materialną wydawkowano około 7 mln zł i było to dwa razy więcej niż w 1975 r. W tej sytuacji średnia wysokość jednorazowej zapomogi mogła wzrosnąć z 900 do 1500 zł. Gwoli sprawiedliwości należy jednak dodać, że w tym samym czasie liczba podopiecznych zwiększyła się o około 30 proc., a zdaniem pracowników działu opieki społecznej, ruch cen i kosztów utrzymania spowodował, iż w jakościowym poziomie pomocy nie notuje się większych różnic.

Lepiej wiedzieć i racjonalnie wydawać

Żeby możliwie najskuteczniej ludziom pomagać, trzeba o ich poziomie życia i potrzebach jak najwięcej wiedzieć, a w tej dziedzinie w dużej mierze poruszamy się jeszcze po omacku. Praktycznie planowanemu z góry rozpoznawaniu podlega jedynie sytuacja ludzi w wieku poprodukcyjnym, we wszystkich innych przypadkach pomoc społeczna wynika z tzw. spontanicznej zgłaszalności. Wprawdzie wstyd przed zgłoszeniem potrzeb asystentowi socjalnemu, czy w działu opieki społecznej ZOZ-u nie działa tak silnie jak dawniej, ale trudno samorzutnie zgłaszać przyjąć za podstawę racjonalnego działania, a w środowiskach objętych planowym rozpoznaniem przeważają białe plamy.

Ten stan rzeczy jest pochodną niewydolności profesjonalnego aparatu

opieki społecznej, wynikającej z niedostatków kadrowych. Zgodnie ze wspomnianym programem resortu, w stołecznym województwie warszawskim za dziesięć lat powinno pracować 650 asystentów socjalnych. Dziś pracuje ich 165 — w 1976 r., kiedy uchwalono program, było ich 90. Na Woli za lat dziesięć powinno być 65 asystentów, obecnie pracuje 14 i liczba ta nie zmienia się od dwóch lat.

Dlaczego przyrost jest tak niewielki lub nie ma go wcale? Odpowiedź na to pytanie jest dość złożona — tu chciałbym wypunktować jeden z jej najistotniejszych elementów. W Warszawie od kilku lat działa szkoła asystentów socjalnych, ale jej absolwenci bynajmniej nie są rozchwytywani. Po prostu ich etaty toną w ogólnej puli etatów średniego personelu medycznego, a każdy, kto wie jakie są problemy z zapewnieniem opieki pielęgnarskiej w placówkach służby zdrowia, łatwo już sobie dopowie resztę. Niemniej z tym fantem trzeba coś zrobić, bo obecnie brak dostatecznej liczby zawodowych pracowników socjalnych zaczyna już wyraźnie ciążyć na realizacji programu poprawy działalności opieki społecznej.

Ale sami ludzie w opiece i najlepsze rozeznanie sytuacji nie wystarczy, by przyjąć ze skuteczną pomocą wszystkim potrzebującym. Wielkość środków przeznaczonych na pomoc materialną jest oceniana różnie — jedni mówią, że wystarczają one na zaspokojenie 2/3 potrzeb, inni szacują inaczej. Na znaczący przyrost pieniędzy oddawanych do dyspozycji opieki społecznej — już nie tylko z przeznaczeniem na bezpośrednią pomoc materialną — w obecnej sytuacji trudno liczyć. Trzeba więc podejmować inne działania.

Po pierwsze, należy uczynić wszystko, aby co najmniej utrzymać na nie zmienionym poziomie liczbę podopiecznych. Skoro wiadomo, że rekrutują się oni głównie spośród emerytów i rencistów, należy przede wszystkim skoncentrować uwagę na doskonaleniu systemu emerytalno-rentowego. O tym pisał niedawno na naszych łamach Michał Winięcki.

Trzeba też zastanowić się, czy pieniądze przeznaczanych na pomoc społeczną nie można by wykorzystać z lepszym niż dotychczas skutkiem. I tu chciałbym poruszyć sprawę dziennych domów pobytu dla emerytów i rencistów. Poza wieloma walorami psychospołecznymi ich rozwój ma również niewątpliwie aspekt ekonomiczny.

Przypomnę, że są to placówki chroniące podopiecznych przed samotnością i zapewniających im podstawowe usługi, np. wyżywienie, które taniej i łatwiej można wiede zorganizować. Potrzebny jest tylko lokal o powierzchni 200 — 500 m kw., wyposażenie w meble i sprzęt i trochę personelu. Opłata za pobyt — przede wszystkim za wyżywienie — nie może przekroczyć 1100 zł miesięcznie, a przy dwutysięcznej emeryturze wynosi 615 zł. Dopłata z funduszy państwowych do jednej osoby jest przy tym nieporównywalnie mniejsza niż w przypadku normalnego domu rencisty, gdzie koszt utrzymania jednego miejsca wynosi około 4000 zł miesięcznie, a maksymalna odpłatność 1200 zł. Dodać należy, że podopiecznymi w obu przypadkach są ludzie o podobnym stopniu sprawności.

W tej sytuacji trudności lokalowe, które są główną przyczyną hamującą rozwój sieci domów dziennego pobytu, trudno uznać za wystarczające usprawiedliwienie. A dla zilustrowania potencjalnych możliwości posłużę się znów przykładem Woli, gdzie działają dwa takie domy o łącznej liczbie 60 miejsc, którą to liczbę można łatwo porównać z przytoczonymi na początku. Zwiększenie liczby domów dziennego pobytu jednak nie od opieki społecznej przede wszystkim zależy.

Zasygnalizowałem tu tylko jeden problem — jeden wyznacznik działalności opiekuńczej. Jest ona o wiele szersza, a rezerwy w samej opiece społecznej będą trudne do znalezienia. Nie zwalnia to jednak od obowiązku rzetelnej analizy skuteczności pomocy udzielanej najbardziej potrzebującym i doskonalenia przyjętych tu form działania.

Odwrotnie — opieka nad najsłabszą ekonomicznie częścią naszego społeczeństwa musi być usprawniana nieustannie, a zasady sprawiedliwości społecznej z naczelną głoszącą obowiązek zapewnienia każdemu minimum środków utrzymania przy rozpatrywaniu zagadnień z tego kręgu powinny być przestrzegane najpełniej.

^{*)} „W głąb systemu emerytalnego”. „Życie Gospodarcze” nr 24 z czerwca 1980 r.

listy

Mleko w folii

W związku z artykułem pt. „Folia mlekiem płynąca” („Z. G.” nr 16/1980) Zjednoczenie Przemysłu Tworzyw i Farb przekazuje wyjaśnienia dotyczące jakości folii polietylenowej do pakowania mleka.

W końcu 1978 r. Zakład Mleczarski „Wola” zlecił Centralnemu Ośrodkowi Badawczo-Rozwojowemu Opakowań w Warszawie wykonanie ekspertyzy dotyczącej przyczyn wycieków mleka z torebek z folii PE. Przeprowadzona ekspertyza wykazała, że jakość folii PE produkowanej przez ZTS „Erg” w Tychach nie odbiegała od jakości folii fińskiej, z którą porównywano folię krajową, a właściwości wytrzymałościowe folii krajowej były nawet lepsze. Stwierdzono, że zasadnicze przyczyny wycieków mleka nie tkwią w jakości folii, lecz związane były zarówno z procesem pakowania mleka w zakładzie, jak i z dalszym postępowaniem z torebkami w transporcie i w sklepach.

W wyniku mankamentów technicznych elektrod grzewących folie w automatach, powstawały punktowe nieszczelności połączeń zgrzewanych torebek. Analiza rodzajów uszkodzeń torebek pochodzących ze zwrotów handlowych wykazała, że blisko połowę uszkodzeń, tj. 49,7 proc. stanowiły uszkodzenia zgrzewów poprzecznych, 22 proc. stanowiły dziurki w folii, 16 proc. uszkodzenia celowe (przecięcie folii ostrym narzędziem, obcięcie lub odgryzienie naroża).

Kwestionowana przez przemysł mleczarski folia miała jednak przede wszystkim złą jakość nawinięcia oraz duży rozrzut grubości. Pragniemy podkreślić, że sposób nawinięcia folii ma wpływ wyłącznie na sam proces pakowania, natomiast na napełnienie torebek nie ma wpływu. Uszkodzenia celowe (przecięcie folii ostrym narzędziem, obcięcie lub odgryzienie naroża).

Do pakowania tak ważnego artykułu rynkowego, jakim jest mleko, powinno być stosowane opakowanie o możliwie najlepszej jakości. Chociaż obecnie ZTS „Erg” w Tychach dokłada maksimum starań w celu uzyskania dobrej jakości folii, sporadycznie mogą jednak występować pewne mankamenty wynikające z niedoskonałości otrzymywanych surowców oraz stosowanej technologii. Z tego względu zakłady przewidują podjęcie modernizacji linii produkcyjnej i technologii produkcji folii, co powinno wyeliminować występujące sporadycznie mankamenty wrobu.

Kontynuowana jest współpraca z producentem polietylenu — Zakładami Chemicznymi „Blachownia”. Wspólnie prowadzone prace mają na celu uzyskanie surowca o właściwościach optymalnych do produkcji folii do pakowania mleka. Prowadzone są również próby wyprodukowania nowego typu folii dwuwarstwowej o parametrach właściwych procesowi grzewczemu i zwiększających wytrzymałość zgrzewów. Wprowadzenie nowego typu folii związane będzie z dokonaniem wielu zmian w technologii produkcji zarówno polietylenu w ZCh „Blachownia”, jak i folii w ZTS „Erg” w Tychach. Producent folii został również zobowiązany do opracowania Polskiej Normy na folię do pakowania mleka, co będzie związane z ustaleniem większych wymagań w stosunku do tego wrobu.

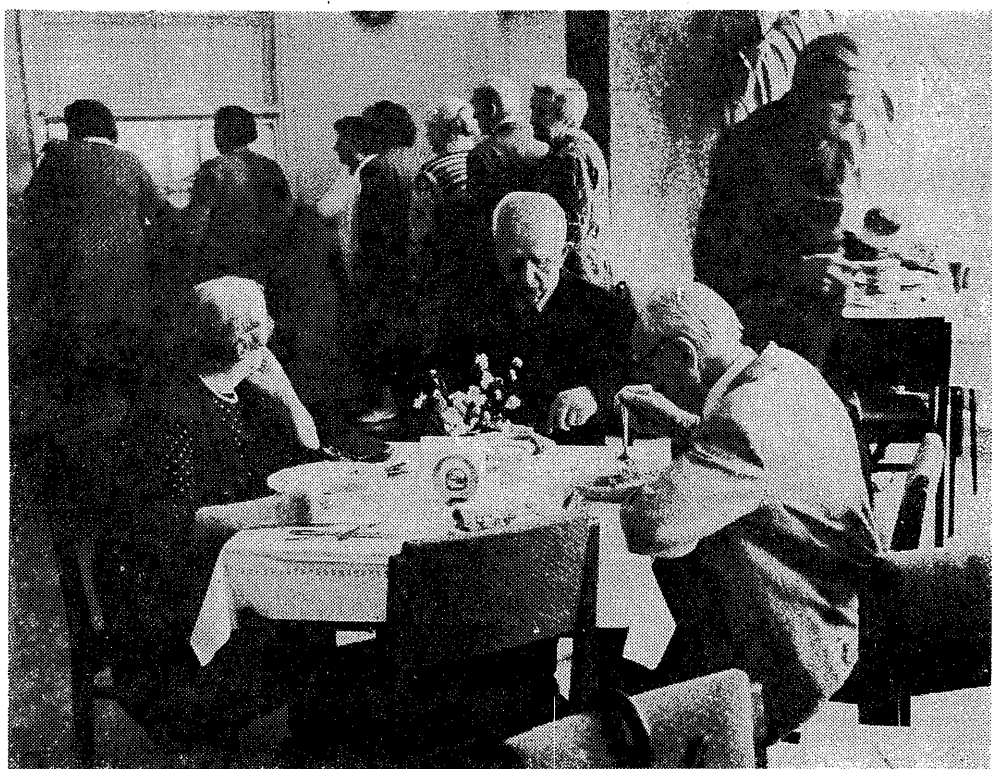
inż. ZBIGNIEW KOSIŃSKI
dyr. ds. produkcji i kooperacji
Zjednoczenie PTiF „Plastofarb”
Gliwice

Buty i meble

Moim zdaniem, znaczne marnotrawstwo obuwia (skóry) w Polsce powstaje z powodu niedopasowania wielkości numerów (zwłaszcza szerokości), za wysokich obcasów i tzw. modnych fasonów. Większość ludzi, zwłaszcza starszych, pragnie wygodnego obuwia, którego brak w sprzedaży, bo fabryki nie biorą pod uwagę tej grupy odbiorców lub nie chcą ze względu na opłacalność (?) produkować krótszych serii. Gromadzą się spore ilości mało użytecznego obuwia w sklepach i u kupujących, którym niewygodne buty krótko służą. Zapasy obuwia gromadzonego w domach powiększają się też w przypadku, gdy w rodzinie jest jedno dziecko, które corocznie „wyrasta” z bucików. Jak wykorzystywać to nadające się jeszcze do użytku obuwie? My praktykowaliśmy wymianę dobrych ubiorów i obuwia w kręgu rodzinnym. A w skali dzielnicy, miasta czy kraju?

Podobna sprawa — to z jednej strony brak mebli, a z drugiej ich marnotrawstwo. Przy przeprowadzkach do nowych mieszkań „stare” meble właściciele z reguły przeznaczają na „złomowanie” z dwóch powodów: na duże meble w nowych pomieszczeniach nie ma miejsca; ulegają modzie na tak zwane nowoczesne wnętrza. Jak wykorzystywać zbędne, a jeszcze będące w dobrym stanie meble? Rozszerzyć istniejącą sprzedaż mebli używanych, ułatwić jej organizację, ewentualnie przeobrazić? Stosują to kraje znacznie od nas bogatsze.

FRANCISZEK SZYPSZAK
Zgierz



Dzienne domy opieki zapewniają wyżywienie i podstawowe usługi. Na zdjęciu: w jadalni DDO przy ul. Grzybowskiej 39 w Warszawie.
Fot. T. MÜLLER

GOSPODARKA FUNDUSZAMI SOCJALNYMI W ZAKŁADACH

Z danych resortu finansów wynika, że w wielu przedsiębiorstwach środki na cele socjalne nie zostały w pełni wykorzystane. Kwota nie wykorzystanych funduszy socjalnych sięgała w końcu 1979 roku 4,4 mld zł. Jest to o tyle zaskakujące, że dość powszechne jest odzucie, iż brakuje nam raczej niż zbywa środków na cele socjalne.

Zmianie ulega struktura wydatków. Nastąpiło przyhamowanie wydatków na czasy i turystykę (które stanowią 70 proc. ogółu wydatków z funduszy socjalnych), a zwiększyły się wydatki na tak zwane pozostałe świadczenia i usługi, to jest imprezy okolicznościowe, działalność sportową, zakupy biletów na imprezy, przelewy na inwestycje itp.

Warto zwrócić uwagę na niektóre dane, charakteryzujące obie grupy

wydatków. Otóż w ubiegłym roku na czasy i turystykę dopłaty z funduszu socjalnego wyniosły nieco ponad 10 mld zł. Udział własny pracowników zakładów w sfinansowaniu tych czasów i wyjazdów wyniósł dodatkowo około 3,5 mld zł. Najwięcej środków przeznaczono na czasy rodzinne i turnusy o pełnym zakresie usług (to znaczy z zakwaterowaniem i wyżywieniem), ale na wyjazdy niedzielne poszło także ponad 1 mld zł. Kolonie i obozy dla dzieci i młodzieży kosztowały zakłady ponad 3,3 mld zł. Tendencja w tych wydatkach jest taka, że w porównaniu z 1978 rokiem zwiększał się (w granicach od 2 do 4 proc. w poszczególnych grupach wydatków) fundusz na zakłady czasy i turystykę, ale zmniejszała się odpłatność pracowników. W całości

wydatków wyglądało to następująco: fundusz zwiększył się o 2,4 proc., a odpłatność pracowników (wliczając w to członków rodzin) o 5,3 proc.

W tym miejscu należy dodać kilka słów wyjaśnienia. Przeciętą odpłatność za czasy turnusowe ukształtowała się w 1979 roku na poziomie 760 zł i mimo utrzymującej się tendencji do wzrostu nie przekraczała 30 proc. rzeczywistego kosztu tego typu czasów. Nie tyle więc sama wysokość odpłatności budziła zastrzeżenia, co zasady określania stawek. Niezrozumiały jest na przykład, fakt, dlaczego stawki odpłatności są znacznie zróżnicowane w grupach o analogicznej dochodowości i zamieszalności, nawet w zakładach tej samej branży, a przy tym nie pozostają w związku ze standardem zakwaterowania i jakością posiłków. Stąd pow-

tarzające się postulaty o stosowanie jednolitej podstawy (to jest dochodu przypadającego na członka rodziny, bądź wynagrodzenia pracownika) dla opłat ulgowych, czy niezależnie ustalania stawek odpłatności od wielkości wolnych środków funduszu socjalnego. Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, któremu sprawa jest znana od dawna, nie może, jak na razie, „poradzić sobie” z rozwiązaniem tej kwestii, chociaż postulaty wydają się być oczywiste.

W 1979 roku z różnych form czasów (w przeliczeniu na czasy 14-dniowe) skorzystało ogółem 3625 tys. osób (o 0,5 proc. mniej niż w poprzednim roku). Przeciętny koszt utrzymania 1 osoby na czasach turnusowych (stanowiących dominującą formę wypoczynku dla pracowników i ich rodzin) wyniósł 2320 zł.

Gdyby jednak doliczyć do tego koszty amortyzacji zakładowych obiektów, to suma ta sięgałaby 2600 zł.

W drugiej grupie tak zwanych świadczeń pozostałych interesujące jest zestawienie choćby takich danych: na imprezy okolicznościowe z funduszy socjalnych poszło w 1979 roku 1052 mln zł, a dotacje dla klubów i przedszkoli wyniosły 222 mln zł; pomoc dla emerytów i rencistów kosztowała zakłady 229 mln zł, a bilety na imprezy — 400 mln zł; na pomoc dla młodych małżeństw wydano 190 mln zł, a różne cele sportowe pochłonęły 818 mln zł. Obiektywna ocena tych danych skłania bezwzględnie do wniosku, że proporcje zostały skrzywione albo — powiedzmy sobie wyraźnie — że fundusz socjalny jest nazwą umowną.

J. D.

ŁATWIEJ NARZEKAĆ NA NIEDOSTATKI...

DOKONCZENIE ZE STR. 1

Informacja o większych i mniejszych ilościach surowców zużywanych do tych samych celów w poszczególnych zakładach też nie ma większego znaczenia. Żadna branża przemysłu chemicznego nie dysponuje rezerwami zdolności produkcyjnych, które pozwalałyby — zależnie od potrzeb — zatrzymywać i uruchamiać instalacje bardziej przestarzałe, będące w gorszym stanie technicznym, produkujące drożej, zużywające więcej surowców do tych samych celów. Trochę inaczej jest w przemyśle rafineryjnym, ale to odrębna i też nieprosta sprawa.

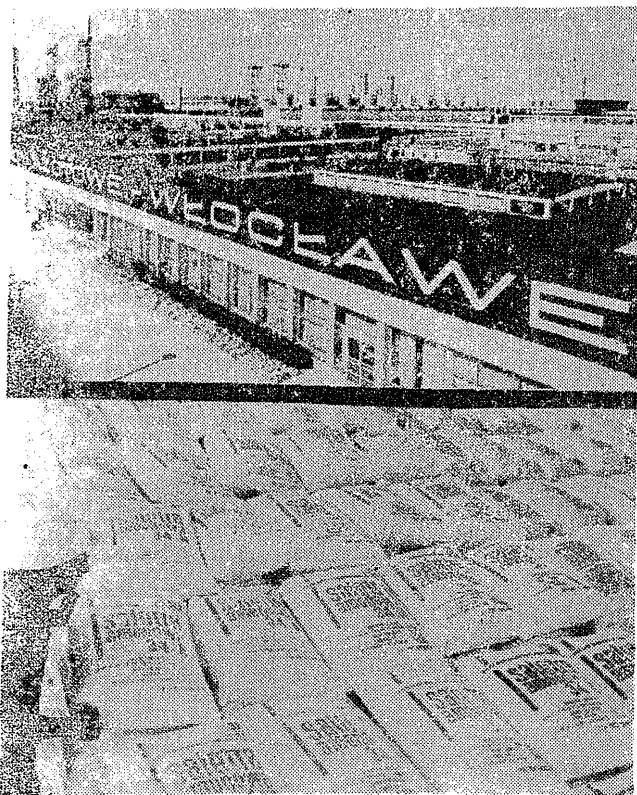
Luka między techniką a ekonomią

Dla zrównoważenia tych dość jednostronnych ocen należałoby teraz przedstawić bliżej etapy doskonalenia systemu normatywowego, naszkicować tworzoną właśnie bazę informacyjną i zasady informatycznego systemu ETOMAT, który ma ułatwiać sensowne jej wykorzystywanie — zaprowadziłoby nas to zbyt daleko w bok. Dla rozstrąsania tego tematu ważniejsze jest coś innego.

Cały system, modernizowany raz po raz, operuje zużyciem w jednostkach naturalnych, czyli w kategoriach technicznych. Na złotówki zużycie surowców przelicza się tylko w zakładach przemysłowych.

— Stwierdzenie takiego stanu rzeczy — mówi mgr inż. W. Kolsut — jest dla technika pewnym zaskoczeniem. Na ogół trudno sobie wyobrazić efektywne gospodarowanie surowcami bez ścisłych i aktualnych danych ekonomicznych. Jeśli zestawiać stan i poziom informacji o kosztach surowcowych z dość dobrze uregulowanymi torami postępowania w zakresie norm i normatywów, to można, trzeba nawet wysnuć wnioski, że nieźle prowadzimy stronę techniczną gospodarki surowcowej, natomiast nie przetrzymamy w sposób optymalny tej działalności na wskaźniki ekonomiczne. W związku z tym nie wiemy jaka jest efektywność naszych działań w tym zakresie.

W praktyce znaczy to m. in. że bardzo trudno ustalić globalne efekty starannego normowania zużycia surowców i nie łatwiej skontrolować



Wielkie kompleksy zaopatrzeniowe „wymiotły” z planów uzupełniające inwestycje surowcowe. Fot. CAF

efekty uzyskane dzięki kolejnym przeglądom tych norm. Przegląd generalny, przeprowadzony w roku 1977, pozwolił obniżyć normy zużycia na kwotę ok. 470 milionów złotych. Następny, w roku 1978, przyniósł oszczędności na surowcach niewiele mniejsze, zbiorcze sprawozdanie zamknięcia się sumą 443 milionów. Uwzględniając wzrost cen suma tych oszczędności powinna była wpłynąć na wyniki roku 1979 wartością w granicach miliarda złotych.

Tymczasem w roku 1979 zwiększyły się liczby zapisywane w rubryce „koszty ogółem”, w ich obrębie wzrosły koszty materiałowe, zwiększył się udział kosztów w wartości produkcji. Dlaczego tak?

Przyczyny niby są znane. Rosną ceny, mnożą się awarie urządzeń, fatalnie wpływają na gospodarkę surowcową nagłe wyłączenia energii;

w tym samym kierunku oddziałują: nadmiernie rozproszony asortyment produkcji, niepełne wykonywanie planów, dalece niedoskonałe zasady rozliczania przedsiębiorstw i wiele innych czynników. Ale ogólnych tych stwierdzeń ani dyrekcje zjednoczeń, ani ministerstwa nie mogą szybko, dokładnie, przekonująco uzasadnić. Przynajmniej — nie zawsze. A należałoby wiedzieć co, z jakiej przyczyny, ile kosztowało.

Trochę o znaczeniu jakości

Poprawne odpowiedzi na tego rodzaju pytania potrzebne są coraz częściej. Decyduje o tym m. in. zmienna jakość importowanych surowców. Przykładem mogą tu być fosforyty. Do sprowadzanych ostatnimi czasy nie przystają ani normy zużycia, ani normy uzysku, nieraz

uzyskanie produktu finalnego trzeba opłacać zmniejszeniem produkcji — konieczne zmiany w technologii obniżają zdolności przerobowe instalacji. W końcowych rozliczeniach finansowych często to się opłaca, no ale właśnie — trzeba wiedzieć dokładnie co i jak.

— Zagadnieniem, które trzeba potraktować oddzielnie — mówi W. Kolsut — jest wpływ jakości krajowych surowców i półproduktów na normy ich zużycia. Posłużyć się przykładem surowców dostarczanych zjednoczeniu „Plastofarb”. W ciągu roku „Plastofarb” kwestionował łącznie jakość sześćdziesięciu czterech surowców podstawowych, dostarczanych mu przez przemysł krajowy, w przeważającej mierze chemiczny. Jakość trzydziestu sześciu zmuszała do zużywania ich w ilościach większych, niż przewidują normy, pozostałe pogarszały jakość wyrobów finalnych.

Na tym przykładzie łatwo dostrzec jak dalece jakość jest kategorią ekonomiczną. Z tego zaś punktu widzenia okazuje się, że w wielu przypadkach można produkować taniej wyroby świadomie gorsze, bez szkody dla użytkowników, a z korzyścią dla gospodarki narodowej. Nie ma bowiem powodu, aby przedmioty jednorazowego użytku były tej samej klasy jakości, co przedmioty użytkowane przez wiele lat. Analiza jakości pod tym kątem ma i będzie miała istotny wpływ na gospodarkę materiałową.

Z jakością ściśle się wiąże problem substytucji. Substytucji w chemii to surowce wzajemnie zamienne pod względem skuteczności działania. Można stosować w produkcji antyutleniające, antystatyczne, wypełniacze, przyspieszacze wulkanizacji itp. o różnej strukturze chemicznej o ile końcowy efekt ich działania w wyrobie finalnym jest taki sam. Taką substytucję można i należy stosować, zwłaszcza gdy jest ona ekonomicznie efektywna, wiąże się z obniżką kosztów, pozwala zastępować importowane środki wytwarzanymi w kraju — badacze mają tu wielkie pole do popisu. Jeśli jednak producent stosuje substancje zastępcze dające gorsze efekty finalne, pogarszające jakość wyrobu, to nie tyle jest to substytucja, co naruszenie reżimu technologicznego. W ostatnich latach, niestety, w wielu wypadkach nie daje się uniknąć stosowania niepełnowartościowych substancji zastępczych. W połączeniu z niedopracowaniem i nieprzestrzeganiem reżimów technologicznych było to najczęstsza

przyczyną reklamowania takich wyrobów jak mydła, proszki do prania, wykładziny podłogowe, sztuczne włókna...

Skromna próbka możliwości

Zagadnienia związane z jakością, a także wspomniana tu tylko optymalizacja asortymentu produkcji, identyfikacja importowanych chemikaliów, modernizacja i poprawa stanu technicznego instalacji, maszyn i urządzeń — to przykłady przedsięwzięć mogących korzystnie oddziaływać na gospodarkę surowcową wewnątrz samego przemysłu chemicznego. Czynnikiem takich jest dużo więcej, nie trzeba dowodzić że sterowanie całym ich zespołem wymaga długotrwałych zazwyczaj prac systemowych. Istnieje też jednak wiele możliwości osiągania szybszej poprawy sytuacji, przez działania w wyższym zakresie, „płytsze” lecz możliwe do bezzwłocznej realizacji. Oto kilka przykładów.

Nie pogarszając właściwości użytkowych można zmniejszyć grubość wykładzin podłogowych z dwóch do 1,4 milimetra — przelicza się to na kilkanaście tysięcy ton polichlorku winylu. Poprawa jakości opakowań szklanych dla przemysłu farmaceutycznego może przynieść oszczędności sięgające dwudziestu procent płynnych substancji leczniczych. Spienianie i napędlanie tworzyw, zbiórka i regeneracja olejów przepracowanych, ograniczenie pakowania nawozów w worki polietylenowe — każde z tych przedsięwzięć obiecuje — przy stosunkowo niewielkich nakładach inwestycyjnych — obiecuje korzyści mierzone dziesiątkami tysięcy ton wyrobów, których niedostatek odczuwa się dziś dotkliwie.

Najpospolitszym chyba przykładem marnotrawnego wykorzystywania wyrobów chemicznych przez użytkowników są farby i lakiery. Poza kręgiem branżowych specjalistów żadna konferencja, dyskusja czy narada na temat gospodarki materiałowej, żadna okazja do narzekania na niedostatek wyrobów chemicznych, nie obchodzi się bez wypowiedzi w rodzaju: „Braki, trudności, niedostatek, a jak ktoś potrzebuje zamalować drobną plamę na drzwiach, to musi kupować kilogramową puszkę”. Sprawa szerszego wprowadzenia na rynek farb i lakierów w małych opakowaniach wlecie się już od lat, jak najbardziej słusznie denerwuje wielu, ale chyba też trochę przesłania marnotrawstwo występujące u wielkich odbiorców. Przy tradycyjnym, powszechnie stosowanym, rozpylowym nosiszeniu farb i lakierów wykorzystuje się je zaledwie w trzydziestu — pięćdziesięciu procentach. Nowoczesne technologie (elektrostatyczna, elektroferetyczna i inne) zapewniają ich wykorzystanie w granicach 80—95 proc. Nadmiernie też wielcy odbiorcy przywiązali się do stosowania farb rozcieńczanych rozpuszczalnikami organicznymi. W

wielu przypadkach, z pełnym powodzeniem można je zastępować farbami wodoro rozcieńczalnymi, zaoszczędzając dzięki temu duże ilości surowców przydatnych w procesach syntezy organicznej.

Dziesiątki, setki, tysiące nawet podobnych możliwości. Znaczną ich część wykorzystać można w obrębie samego przemysłu chemicznego, inne wymagają zgodnego współdziałania resortów zużywających chemiczne produkty. Z tym, jak zwykle, bywają kłopoty. Łatwiej narzekać na niedostatek, niż zrezygnować z nawyków, własnej wygody, wysupłać skromne chociażby środki na realizację przedsięwzięć inicjowanych przez kogoś innego. Przełamanie tych barier jest jednak nakazem chwili.

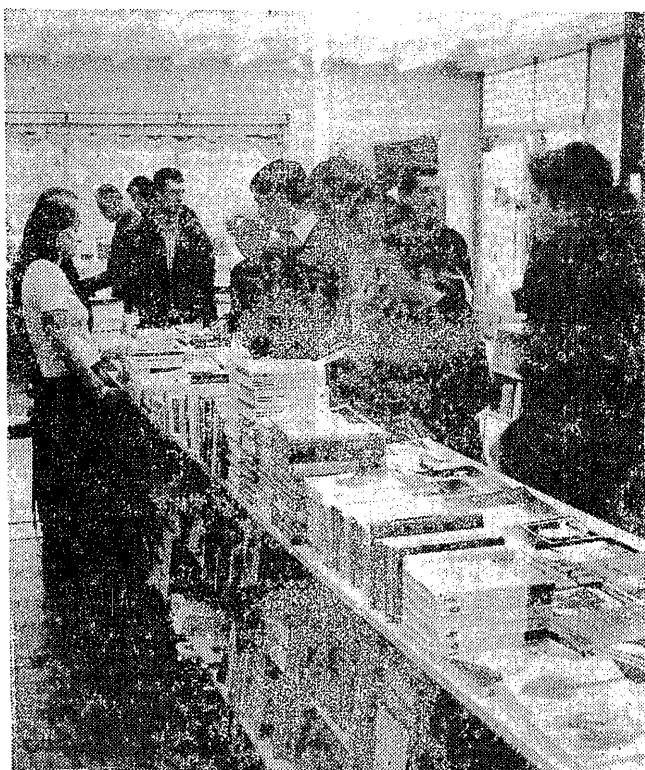
Proponuję generalny przegląd

Nie poruszam tu możliwości jakie ujawniła analiza wartości dużych kompleksów produktów chemicznych — o kompleksie olejów smarowych pisałem niebawem, o kompleksie oponiarskim i racjonalnym wykorzystaniu odpadów napiszę niebawem. Świadomie też omijam odgrywane tu wielką rolę sprawy cen surowców i niezbędnych zmian w systemie zarządzania. W tym zakresie ograniczę się do jednej tylko uwagi. Surowcowa sytuacja, nie tylko przemysłu chemicznego, wymaga umiętnego kojarzenia działań o znaczeniu generalnym z doraźnymi, dyktowanymi wymogami chwili. W ramach tych ostatnich konieczne wydaje się przeprowadzenie generalnego przeglądu norm prawnych, wydanych w ciągu ostatnich lat, bardziej lub mniej bezpośrednio dotyczących gospodarki materiałowej. Dla uzasadnienia tej propozycji przytoczę fragment wypowiedzi jednego z uczestników Krajowej Konferencji Ekonomistów Przemysłu Chemicznego: „W ciągu trzech lat, często niestety w niepełnej zgodzie z przepisami, udało się w „Petrochemii” zrealizować 145 małych zadań, eliminujących niekonieczny import. Pozwala to zaoszczędzić 131 milionów złotych dewizowych rocznie. Inne przedsięwzięcia, realizowane w podobny sposób, przyniosły oszczędności materiałowe rzędu sześciuset milionów złotych rocznie”.

Za rozważeniem mojej propozycji przemawiają zarówno przytoczone sumy, jak i owo wzruszające stwierdzenie o eliminacji importu, „często, niestety, w niepełnej zgodzie z przepisami”.

ALEKSANDER JĘDRZEJCZAK

MATERIALNE UWARUNKOWANIA DZIAŁALNOŚCI WYDAWNICZEJ



Fot. T. MULLER

UCHWAŁA Biura Politycznego z 1974 roku przewidywała, że w roku 1980 powinniśmy wyprodukować około 270 milionów książek.

W latach 1974—1979 wydawano rocznie około 150 milionów egz. książek. Największy udział miały w tym podręczniki szkolne — 24,6 proc. Następnie literatura dziecięca i młodzieżowa — 22,3 proc., literatura piękna — 19 proc., nauki społeczne — 15,2 proc.

Ocenia się, że nakłady podręczników szkolnych zaspokajają 60 proc. potrzeb, podręczników dla szkół wyższych — 50 proc., literatury dla dzieci i młodzieży — 60 proc., literatury pięknej — 50 proc. Kiedyś 30 maja materiałowe warunki realizacji polityki wydawniczej rozpatrywała sejmowa Komisja Kultury i Sztuki zgodnie wskazywano, że rzeczą największej wagi jest zrobić wszystko, aby obecne trudności i napięcia jak najmniej odbiły się na sprawach kultury i sztuki.

Według informacji resortu kultury i sztuki w przygotowywanym obecnie programie na lata 1980—85 zakłada się pełniejsze zaspokojenie zapotrzebowania na książki, jednakże realizacja tego planu będzie trudna z uwagi na brak surowców, głównie papieru, oraz zbyt szczyplawy stosunku do programu wydawniczego potencjał bazy poligraficznej.

Zużycie papieru na produkcję książek w latach 1974—1980 wahało się około 47 tys. ton, w roku 1979 wyniosło 46,7 tys. ton, plan na rok 1980 przewidywał 52,7 tys. ton.

W roku 1981 i latach następnych kontynuowana będzie reforma szkolnictwa średniego. Zakłada się więc

zwiększenie nakładów podręczników szkolnych o około 6—6,5 mln egzemplarzy, na co zużyje się około 2 tys. ton papieru. Na druk lektur szkolnych należy planować również około 2 tys. ton.)

Plan Zjednoczenia Przemysłu Poligraficznego na rok 1980 zakłada wykonanie 142 mln egz. książek i broszur. Mieści się tu zwiększona o 100 proc. w stosunku do roku poprzedniego ilość podręczników szkolnych, co ograniczy produkcję innych książek.

Zdaniem resortu, w roku 1980 w dziedzinie oświaty zaspokoić się potrzeby szkoły i nauczyciela, wykonany zostanie plan wydawania podręczników szkolnych i lektur.

W dziedzinie nauki i kształcenia na poziomie wyższym realizację się tegorocznego planu, z tym, że niektóre podręczniki mogą się ukazać dopiero w końcu roku.

75 proc. papieru dostarczanego Ministerstwu Kultury i Sztuki pochodzi z produkcji krajowej. Obecnie założeń w dostawach sięgają 2 tys. ton i mają zostać wyrównane w następnych miesiącach.

25 proc. potrzeb resortu pokrywa import. W roku bieżącym wzrost cen papieru na rynkach światowych spowodował podjęcie decyzji o zakupie papieru niższych gatunków, co niektórym wydawcom stwarza poważne kłopoty. Ponadto dostawy są nieregularne, a asortyment niezgodny z zamówieniami wydawnictw.

Podobne trudności są udziałem RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Prasa wydaje w roku bieżącym 250 tytułów prasowych o jednorazowym nakładzie 25,1 mln egzemplarzy. Ponadto w roku bieżącym RSW ma wydać 957 tytułów książek i broszur o nakładzie 38,2 mln egzemplarzy, a więc znaczny procent krajowej produkcji.

Przydział papieru w ilości 171 tys. ton nie będzie realizowany; przewiduje się, że niedobór wyniesie około 8,3 tys. ton. Pogłębiają się również trudności w zaopatrzeniu poligrafii w materiały i surowce niezbędne do druku prasy kolorowej i wydawnictw wielobarwnych. Dotyczy to przede wszystkim mate-

riałów importowanych — przeznaczone na ten import środki pokrywają 40 proc. potrzeb.

W rezultacie wszystkich zabiegów oszczędnościowych globalny nakład prasy zmniejszy się w roku bieżącym o 97 mln egzemplarzy, a wskaźnik nasycenia prasą na 1 mieszkańca z 87,4 egz. do 84,7.

Przewiduje się modernizację trzech maszyn wytwarzających papier na czasopiśmie. Skutki tego przedsięwzięcia odczujemy w końcu przyszłej pięcioletki.

Dyskusja poselska, ukazując szereg dalszych mankamentów naszej działalności wydawniczej, jak choćby to, że cykl produkcyjny przeciętnej książki wydłużył się w ostatnich latach z 230 do 275 dni, książka zaś naukowej z 302 do 380 dni, skoncentrowała się głównie na tym, jak wyjść z impasu.

Ruch wydawniczy zużywa tylko 16 proc. puli papieru, którym dysponuje gospodarka narodowa. Padła więc propozycja, aby rozdział papieru rozpocząć od potrzeb wydawniczych i prasowych, a dopiero w następnej kolejności — innych użytkowników. Sukcesywna przy tym zmiana struktury zużycia papieru o 1 punkt rocznie na korzyść papieru drukowego pozwoliłaby wydawcom uzyskać w końcu 1985 roku 20 proc. całej puli papieru.

Zwrócono uwagę na konieczność realnego planowania. W roku 1979 zmniejszono przydział papieru na cele wydawnicze o 2 tys. ton w porównaniu z rokiem 1974. Posłowie wyrażali więc zdziwienie, że zwiększono limit przydziału na rok 1980 o 6 tys. ton, skoro odbiega to znacznie od wykonania planu ubiegłorocznego, a niedobór dostaw za cztery pierwsze miesiące tego roku sięgnął 2,7 tys. ton. Możliwość wykonania planu — zdaniem posłów — pod znakiem zapytania stawia także i to,

że Ministerstwo Handlu Zagranicznego wstrzymało dostawy papieru z zagranicy w pierwszym półroczu br.

Sygnalizowano konieczność wzrostu liczby księgarń. Sieć księgarń powinna objąć cały kraj, wszystkie gminy. Brak zaś tych placówek zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich w Rzeszowskim, Białostockim, w podwarszawskich osiedlach mieszkaniowych i miastach województwa warszawskiego.

Księgarstwo jest rentowne i np. w roku 1979 akumulacja wyniosła 242 mln zł, w roku zaś 1980 planowana akumulacja wyniesie ma 326,3 mln zł, a zysk — 276,9 mln.

Szukając papierowych rezerw, przede wszystkim wskazywano na konieczność ograniczania liczby formularzy resortowych. (Najbardziej kuriozalna informacja — droga jajka od producenta do konsumenta wymaga 15 różnych formularzy). Tylko w ten sposób planuje się zaoszczędzić ok. 3600 ton papieru rocznie.

Posel Ryszard Hajduk (PZPR) stwierdził, że wszystkie zgłoszone propozycje są rozwiązaniami cząstkowymi, nie osiągnięte się natomiast radykalnego przełomu w wydawaniu książek i prasy, jeśli nie zostaną opracowane kompleksowa koncepcja polityki wydawniczej i rozwiązywania obecnych trudności. I trudno się z tym nie zgodzić.

J.B.

*) Dane resortu kultury różnią się dość zasadniczo od innych źródeł. Kultura i sztuka podaje liczby dotyczące tylko działalności wydawniczej koordynowanej przez siebie, GUS uwzględnia także działalność wydawniczą innych resortów. Resort kultury i sztuki podaje wysokość nakładu faktycznie wydrukowanych egzemplarzy, statystyka Biblioteki Narodowej podaje wysokość nakładu według metryki umieszczonej na książce (czasami cały nakład drukuje się dwa lata).

SYTUACJA mieszkaniowa województwa katowickiego jest wyjątkowo zła. Ktoś mógłby powiedzieć, że i reszcie kraju pod tym względem się nie przelewa; a w katowickim buduje się przecież nie mało — w ciągu ostatnich czterech lat oddano do użytku prawie 160 tysięcy mieszkań. Jednakże przy ocenie potrzeb mieszkaniowych Śląska nie można pominąć takich czynników, jak rozmiary stawianych przed nim zadań produkcyjnych oraz specyficzne, przyspieszające zużycie budynków, warunki panujące w tym okręgu przemysłowym.

— Jeśli chcemy wydobywać więcej węgla — powiedział Włodzimierz Lejczak, minister górnictwa — musimy postawić na mieszkania. Za tak ciężką pracę w kopalni należy się przecież rekompensata! Tymczasem kilkadziesiąt tysięcy rodzin górniczych mieszka w starych domach o bardzo niskim standardzie, pozbawionych elementarnych udogodnień, bieżącej wody i centralnego ogrzewania. Przeważająca część tych budynków kwalifikuje się do generalnego remontu, a niektóre trzeba by nawet wyburzyć.

Gwałtowny wzrost zapotrzebowania górnictwa w województwie katowickim na mieszkania wynika głównie z sukcesywnego wprowadzania systemu czterobrygadowego. System ten poprawia warunki pracy i umożliwia zwiększenie wydobywania węgla, ale wymaga znacznego przyrostu zatrudnienia, a więc i mieszkań.

Większość eksploatowanych pokładów leży bezpośrednio pod gęsto zabudowanymi terenami miejskimi. Skracca to żywotność budynków. Nie stać nas jednak, by zostawić pod ziemią górnolaski węgiel. Nowe domy muszą więc być przystosowane do miejscowych warunków. Konieczne jest dodatkowe wzmocnienie fundamentów, specjalne konstrukcje i zabezpieczenia wszystkich instalacji podziemnych: sieci wodociągowej, ciepłowniczej, gazowej i elektrycznej oraz kanalizacyjnej. Utrapienie budowlanych stanowi kretowiska tak zwanych biedaszybów. Nie są one zwinierowane i można na nie trafić właściwie wszędzie. Kolejny problem to elewacje, które muszą być odporne na zapylenie powietrza. Dlatego na Śląsku trudniej stawiać domy niż gdzie indziej; większa jest tu nie tylko materiałochłonność, ale i pracochłonność większych robót.

W tym roku planuje się zbudowanie w województwie katowickim 62,5 tysiąca mieszkań; o 20 procent więcej niż w 1979 roku. Natomiast w przyszłej pięcioletniej przewiduje się oddanie do użytku 300 tysięcy mieszkań. Pozwoli to zaspokoić tylko najpilniejsze potrzeby.

Na najbliższe lata nie zakłada się więc intensyfikacji zadań, ale ich wykonanie będzie i tak bardzo trudne.

— Obecnie bowiem — według słów Stefana Sabata, dyrektora do spraw budownictwa mieszkaniowego w Hucie „Katowice” — około jednej trzeciej mieszkań jest budowanych na Śląsku przez zjednoczenia z całej Polski. Połowa domów oddawanych do użytku pracownikom hut wyznoszona jest z prefabrykatów pochodzących spoza województwa.

Od przyszłego roku przewiduje się jednak stopniowe wycofanie tego obcego potencjału budowlanego oraz znaczne ograniczenie zużycia prefabrykatów wytwarzanych w fabrykach domów w Elku, Poznaniu, Krakowie i we Wrocławiu. Powstała luka w lokalnym bilansie elementów budowlanych mają zapieścić uruchamianie na miejscu fabryki i wytwórnie poligonowe.

PODSTAWY do obaw o wykonanie planów stwarza niestabilność załóg przedsiębiorstw budowlanych. Zjawiskiem spędzającym sen z powiek dyrektorem Śląskiego Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego, skupiającego ponad połowę potencjału katowickiej „mieszkaniówki”, jest ogromna, przekraczająca 50 procent, fluktuacja wśród pracowników grupy wytwórczej.

Zasadnicza kwestia to w tej chwili nie ilość, a jakość kadr dla górnolaskiego budownictwa mieszkaniowego.

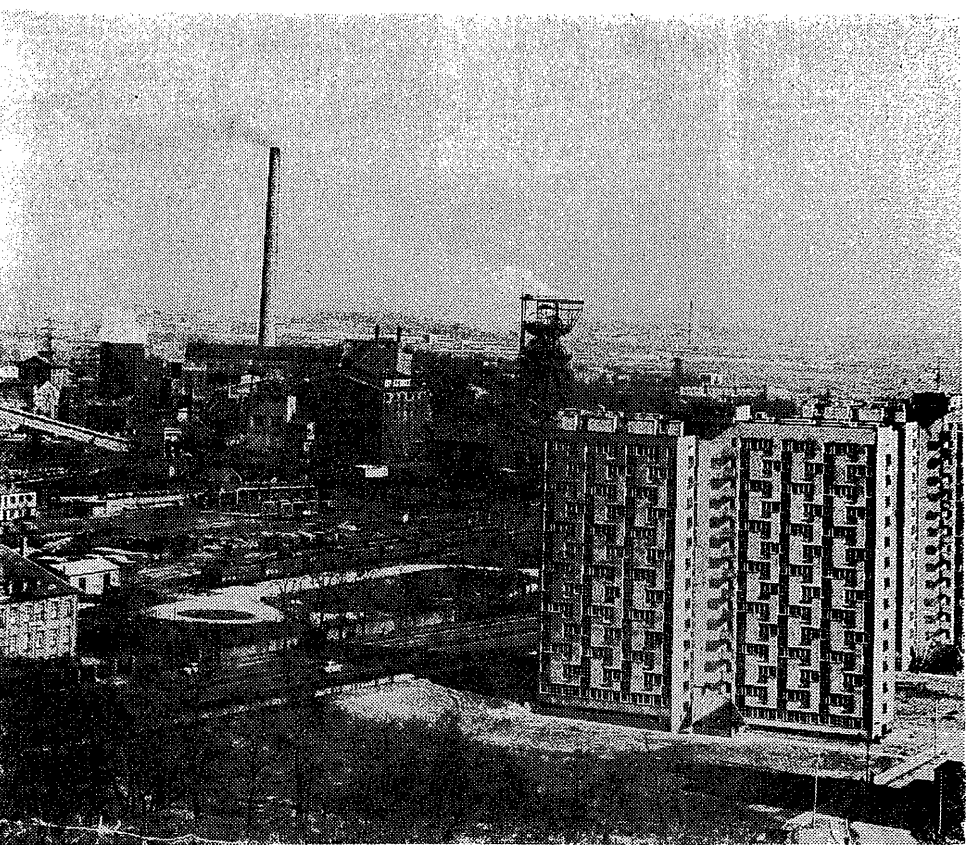
Szczególnie szybkemu w ostatnich trzech latach wzrostowi zadań produkcyjnych towarzyszyło gwałtowne zwiększanie zatrudnienia. Przyjmowano każdego, kto się zgłosił. Trafiło się więc sporo takich, którzy miejsca długo nie zagrzewali. Wprawdzie kodeks pracy zawiera klauzule wymierzone przeciwko łamiącym ustalone w nim zasady, ale nie były one zbyt rygorystycznie przestrzegane.

Zadaniem numer jeden jest więc stabilizacja załóg. SZBM stara się sukcesywnie zastępować tych, którzy źle pracują i łamią regulaminy, absolwentami zasadniczych szkół zawodowych. Z pomocą przyszły władze centralne:

— Realizacja uchwały numer 175, podjętej przez Radę Ministrów pod koniec ubiegłego roku — mówi Janusz Kolbuszewski, dyrektor do spraw pracowniczych SZBM — przebiega pomyślnie. W ciągu pierwszego

WAGA POROZUMIENIA

IAN REWKIEWICZ



Ograniczenie napływu siły roboczej mogłoby złagodzić napięcia w budownictwie mieszkaniowym Śląska.

Fot. CAF

go półroczu podpisaliśmy prawie pięć tysięcy umów z tegorocznymi absolwentami. Bardzo nam zależy, by umowy te były respektowane przez wojewódzkie wydziały zatrudnienia. Młodzieży, która decyduje się do nas przyjechać, gwarantujemy dobre warunki.

Z wypowiedzi tej nie należy oczywiście wyciągać wniosku, że jesteśmy bliscy rozwiązania problemów zatrudnienia w budownictwie mieszkaniowym województwa katowickiego.

— Wiadomo na przykład — wyjaśnia Michał Czarski, zastępca dyrektora Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Wojewódzkiego — że głównym źródłem dochodzącej do 100 procent fluktuacji w fabrykach domów są nie tyle braki kadrowe, ile kłopoty z utrzymaniem rytmicznej produkcji. Fabryki domów zawsze najboleśniej odczuwają trudności zaopatrzenia w stal zbrojeniową, kruszywa, cement, stolarke budowlaną i materiały izolacyjne. W rezultacie dochodzi czasem do sytuacji, że jednego dnia nie robi się nic, a drugiego — trzeba pracować 16 godzin.

Dlatego trudno się dziwić ludziom, że szukają regularniejszego zajęcia. Na problemy budownictwa mieszkaniowego w województwie katowickim należy patrzeć przez pryzmat ogólnej sytuacji w zatrudnieniu.

— Bez względu na priorytet — mówi Ryszard Paluch, zastępca przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania — ma górnictwo, które w najbliższej pięcioletce wchłonie dodatkowo 70 tysięcy pracowników. Z tego około 30 tysięcy przypadnie na rozszerzenie systemu czterobrygadowego, 20 tysięcy — na przyrost zatrudnienia związany z uruchomieniem nowych kopalń i 20 tysięcy — na rozbudowę istniejących zakładów (w tym także przedsiębiorstw budownictwa mieszkaniowego podległych Ministerstwu Górnictwa — reprezentujących obecnie około jednej czwartej potencjału budowlanego całego województwa — uwaga moja — J. R.).

Przewiduje się również zwiększenie o 60 tysięcy zatrudnienia w usługach, gdyż ich rozwój w naszym województwie jest wciąż niezadowalający. W budownictwie i w hutnictwie zakłada się utrzymanie osiągniętego w bieżącym roku poziomu zatrudnienia.

Przyrost własnych zasobów pracy szacuje się na 40 tysięcy osób; 20 tysięcy przyniesie ograniczenie zatrudnienia w przemyśle (poza górnictwem, hutnictwem i budownictwem). Natomiast brakujące do zbilansowania zasobów 70 tysięcy pracowników powinna — zdaniem Wojewódzkiej Komisji Planowania — uzupełnić imigracja siły roboczej z innych województw.

PRZEDSTAWIONY szacunkowy bilans zasobów pracy na pierwszy rzut oka nie budzi żadnych zastrzeżeń. Trudno przecieź kwestionować potrzeby górnictwa, czy też ocenę przyrostu własnych zasobów pracy. Niezbyt przekonujące wydają się jednakże inne szacunki:

przewidywanego napływu kadr spoza województwa oraz wzrostu zatrudnienia w usługach.

Zastanówmy się bowiem, uwzględniając ustalenia pierwszej części niniejszego artykułu, jakie byłyby prawdopodobnie skutki takiego dopływu nowej siły roboczej do województwa katowickiego?

Przede wszystkim spowodowałby on niewątpliwie pogłębienie deficytu mieszkań. Przybyłszy spoza województwa trzeba przecież w pierwszej kolejności dawać mieszkania. Nie mogą oni wiecznie gnieździć się w hotelach robotniczych. Po jakimś czasie musi się im otworzyć perspektywa stabilizacji. W dodatku wcale nie ma gwarancji, że pracownik taki po otrzymaniu mieszkania zostanie na Śląsku. Obawy te potwierdza Hubert Niglus, prezydent Zabrzeża.

— Budowanie mieszkań dla Śląska to swoiste perpetuum mobile. Przyjeżdża do nas — dajmy na to — Andrzej Kowalski z podzielskiej wioski. Popracuje dwa lata i dostaje mieszkanie. Potem rezygnuje z posady i wraca na wieś. Ale mieszkanie nie zwraca; zostawia w nim, na przykład, córkę.

Wypowiedź ta daje asumpt do zastanowienia się nad trybem przydziału mieszkań z puli zakładowych. Ale powróćmy do zasadniczego wywołu.

Pogłębienie deficytu mieszkań, przy ograniczonych możliwościach śląskiego budownictwa, to zasadniczy, ale nie jedyny, skłopot związany z imigracją siły roboczej. Nie trzeba tu sięgać zbyt głęboko i wdrażać się w ocenę efektywności przemian zasobów pracy, gdyż wystarczy powiedzieć o związkach z tym zjawiskiem i nieuniknionych napięciach w handlu, usługach i komunikacji.

Napływ pracowników spoza województwa zmusza — moim zdaniem — do szczególnie intensywnej rozbudowy szeroko pojętej infrastruktury usługowej. Ludzie ci będą przecież korzystać, w większym stopniu niż stali mieszkańcy Śląska, ze stołówek, restauracji, pralni itp. Poza tym, należą im się chyba po pracy jakieś godziwe rozrywki? Stwarza to oczywiście dodatkowe napięcia kadrowe — mamy tu do czynienia ze swoistym mnożnikiem zatrudnienia.

Ewentualne ograniczenie dopływu siły roboczej do województwa katowickiego wymagałoby poważnych zmian w rozmieszczeniu własnych zasobów pracy. Ale manewr taki byłby na pewno opaczny.

Zahamowanie imigracji spoza województwa pozwoliłoby nieco złagodzić napięcia w lokalnym bilansie mieszkaniowym. Osłabił się też nacisk na rozwój zaplecza usługowego, co umożliwiłoby skierowanie większej ilości ludzi do górnictwa.

Proponowane rozwiązanie miało by większe szanse powodzenia, gdyby towarzyszył mu szeroko zakrojony, skoordynowany między resortami, program uporządkowania i racjonalizacji zatrudnienia.

Poza tym należałoby zdecydować się na zastosowanie naprawdę skutecznych narzędzi (administracyjno-prawnych i bodźców) służących właściwej alokacji zasobów pracy posiadanych przez województwo.

Ta droga jest na pewno trudniejsza, ale niewątpliwie bez porównania efektywniejsza. Dlaczego trudna? — Ponieważ wymaga przyjęcia przez poszczególne resorty ogólnospołecznych punktów widzenia. Konieczna by była przy tym niejednokrotnie bolesna rezygnacja z części zamierzeń i niektórych zbyt wybujałych ambicji inwestycyjnych.

NA koniec pozostaje do rozstrzygnięcia kwestia: czy generalne ograniczenie dopływu siły roboczej zaostreżyłby deficyt kadr w górnolaskim budownictwie mieszkaniowym? Jest to bardzo prawdopodobne, chociaż wystąpienie tego zjawiska wcale nie musi być równoznaczne ze spadkiem produkcji. Uważam, że już najwyższy czas, by w budownictwie próbować uruchomić intensywne czynniki gospodarrowania.

— Na dłuższą metę, nie do przyjęcia jest sytuacja — powiedział Michał Czarski — by przedsiębiorstwa budowlane dostawały dodatkowe limity zatrudnienia, mimo uzyskiwania niekorzystnych rezultatów ekonomiczno-finansowych. Nie można przecież nieustannie lekceważyć elementarnych wskazań rachunku ekonomicznego.

Podstawowym warunkiem wyzwolenia w budownictwie mieszkaniowym czynników efektywnościowych jest radykalna poprawa organizacji pracy. Należałoby tylko zastanowić się, jaką drogą do niej doprowadzić. Właściwym rozwiązaniem byłoby może stopniowe upowszechnianie wielobrygadowego kompleksowego systemu organizacji pracy (patrz: A. Chmielewski „Wielobrygadowy slalom”, „Z.G.” nr 27 z br.). W dużym skrócie polega on na indywidualnym przydzielaniu i rozliczaniu z zadań poszczególnych brygad budowlanych. Stwarza to bodziec do intensyfikacji pracy oraz eliminowania zbędnych lub nieefektywnych pracowników. Według oceny Ministerstwa Budownictwa system ten pozwala na 20-procentowy wzrost wydajności pracy, mierzonej efektami rzeczowymi.

WYKONANIE planu budownictwa mieszkaniowego leży przy skoncentrowaniu sił i środków, w zasięgu obecnych możliwości województwa katowickiego. Inną sprawą jest stopień zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych Śląska. I tu widnia ogromna rola polityki zatrudnienia, która powinna łagodzić a nie zaostrzać, powstałe napięcia. Pomyślny rozwój wszystkich dziedzin górnolaskiej gospodarki jest w znacznym stopniu uzależniony od sytuacji w budownictwie mieszkaniowym. Dlatego też — w interesie całego województwa — konieczne jest jak najszybsze dościslenie porozumienia między poszczególnymi resortami w zakresie skoordynowanej, długofalowej i konsekwentnej polityki zatrudnienia.

aktualności

SKUP MLEKA

Signalizowany już czerwcowy wzrost skupu mleka (o 9,2 proc. w porównaniu z czerwcem ub.r.) sprawił, że łącznie w okresie całego I półroczu br. skupiono o 8,6 proc. więcej mleka niż w analogicznym okresie ub.r. Nie przesądza to jednak jeszcze o możliwości odpowiedniej poprawy zaopatrzenia rynku w mleko i przetwory mleczne. Trzeba się bowiem liczyć, że już w najbliższych miesiącach mogą wystąpić zakłócenia w skupie mleka spowodowane powodzią i podtopieniem łąk w lipcu br.

Problem przygotowania pasz dla bydła, zwłaszcza przez wydatne rozszerzenie upraw poplonów, stał się obecnie jeszcze ważniejszym zadaniem niż w poprzednich latach. (Sb)

SKUP JAJ

Czerwiec br. przyniósł spadek skupu jaj o 1,8 proc. poniżej czerwca ub.r. W konsekwencji skup jaj w okresie całego I półroczu br. jest tylko o 2,4 proc. wyższy niż w I półroczu ub.r. Większe spadki skupu jaj (w granicach 30—40 proc.) zanotowano w czerwcu br. w województwach: koszalińskim, krośnieńskim, leszczyńskim, poznańskim i radomskim. O ponad 20 proc. spadł natomiast skup jaj w województwach: rzeszowskim, suwalskim, tarnowskim i wałbrzyskim.

Równocześnie na niektórych terenach notowane są wzrosty skupu jaj nawet w granicach kilkudziesięciu procent. Wskazuje to na możliwości wydatniejszego rozwoju hodowli kur niosek. (Sb)

SKUP ŻYWCA RZEZNEGO

Skup żywca rzeźnego w czerwcu br. był o 1,5 proc. wyższy niż w czerwcu ub.r. Łącznie jednak w okresie I półroczu br. był on o 2,7 proc. niższy niż w I półroczu ub.r. Zdecydował o tym skup trzody chlewnej, który w czerwcu br. był o 3,1 proc. wyższy niż w czerwcu ub.r., łącznie natomiast w okresie I półroczu br. był on 3,3 proc. niższy niż w I półroczu ub.r. Skup bydła w czerwcu br. był o 0,5 proc. niższy niż w czerwcu ub.r., a w I półroczu br. o 2,9 proc. niższy niż w I półroczu ub.r.

Szczegółowej uwagi ze strony służby rolnej wymaga zanotowany w czerwcu br. wysoki wzrost skupu bydła w województwach: szczecińskim (o ok. 80 proc.), koszalińskim i gdańskim (o 70 proc.), zielonogórskim (o 45 proc.), suwalskim (o 42 proc.) oraz gorzowskim i bydgoskim (o ponad 30 proc.). Może to bowiem wskazywać na wystąpienie tendencji do ograniczenia hodowli. Tendencje te mogą jeszcze być wzmocnione w związku z powodziami i podtopieniem łąk w lipcu br. Podtrzymywanie rozwoju hodowli bydła jest więc obecnie bardzo ważnym zadaniem służby rolnej.

W skupie trzody zwraca uwagę wysoki jej wzrost w czerwcu br. w województwie koszalińskim (o 44 procent), nowosądeckim (o 22 proc.) i szczecińskim (o ok. 21 proc.). Może on bowiem wskazywać na tendencję do ograniczenia stada podstawowego. (Sb)

HODOWLA TRZODY

Liczba loch krytych w punktach kopulacyjnych w czerwcu br. była ok. 3 proc. wyższa niż w czerwcu ub.r. Zapewnia to możliwość odpowiedniego rozszerzenia hodowli. Nie na wszystkich terenach sytuacja układała się jednak równie korzystnie. Zwraca zwłaszcza uwagę spadek krycia loch na terenach województw: elbląskiego, kaliskiego, leszczyńskiego, wałbrzyskiego i wrocławskiego (w granicach 10 proc.).

Na wymienionych terenach podtrzymanie tendencji rozwojowych w hodowli trzody chlewnej powinno stać się przedmiotem specjalnego zainteresowania służby rolnej. (Sb)

SPRZEDAŻ NAWOZÓW

Masa nawozów sztucznych, przekazana do dyspozycji jednostek handlowych CZSR „Samopomoc Chłopska” pod tegoroczne zbiory (w okresie od lipca ub.r. do czerwca br.) była o 1,8 proc. mniejsza niż przed rokiem. Zdecydował o tym znaczny, bo ok. 13-procentowy spadek dostaw nawozów potasowych. Mimo to sprzedaż nawozów w omawianym okresie była o ok. 6 proc. wyższa niż przed rokiem. Ta poprawa nawożenia została osiągnięta w wyniku obniżenia stanu zapasów nawozów sztucznych na koniec czerwca br. o ok. 37 proc. poniżej stanu z końca ub.r.

Obecnie więc pilnym zadaniem stało się uzupełnienie stanu zapasów nawozów sztucznych w magazynach CZSR „Samopomoc Chłopska”.

DOSTAWY PASZ

Sprzedaż pasz przemysłowych w I półroczu br. była o ok. 13 proc. niższa niż w I półroczu ub.r. w tym sprzedaży dla indywidualnych rolników była o ok. 11 proc. niższa niż przed rokiem. Dostawy dla indywidualnych rolników, gdzie pasze przemysłowe są bardziej efektywnie wykorzystywane — w związku z możliwością szerszego uzupełnienia ich paszami odpadowymi — zostały więc ograniczone w mniejszym stopniu niż dostawy dla uświadczonych gospodarstw rolnych. Zasada ta nie na wszystkich terenach jest jednak przestrzegana również konsekwentnie. W czerwcu br. nastąpiło relatywne ograniczenie dostaw dla indywidualnych rolników na terenach województw: bielskiego, krośnieńskiego, sieradzkiego, słupskiego, toruńskiego i wałbrzyskiego. Jest to oczywiście w decydującej mierze uzależnione od wielkości dostaw żywności w ramach kontraktacji. Zwraca jednak uwagę bardzo głęboki w czerwcu br. spadek sprzedaży pasz odbiorcom indywidualnym w województwach: przemyskim (o 65 proc.), bielskim (o 50 proc.), konińskim (o 45 proc.) i częstochowskim (o ok. 35 procent). Możliwe więc, że na tych terenach niedobory pasz przemysłowych stały się czynnikiem hamującym wykorzystanie pasz własnych indywidualnych gospodarstw chłopskich. (Sb)

ROBOTY

BUDOWLANO-MONTAŻOWE

Produkcja podstawowa uspołeczniczonych przedsiębiorstw budowlano-montażowych w I półroczu br. była o 3,5 proc. wyższa niż w I półroczu ub.r. Zaawansowanie realizacji planu rocznego wynosiło natomiast 48,5 proc. Oznacza to, że wykonanie planu rocznego wymaga większej intensyfikacji robót w II półroczu. Odnosi się to zwłaszcza do obiektów realizowanych na terenie województw: białostockiego, kaliskiego i miejskiego łódzkiego, gdzie zaawansowanie planu robót kształtuje się w granicach 49—44 proc. (Sb)

STATKI NA KREDYT

W latach 1976—1980 zakupiłyśmy za granicą 12 statków na kredyt. Rozliczenie wyników eksploatacji tych statków wykazuje, że są one w stanie w ciągu 4 do 7 lat wygenerować dochody dewizowe potrzebne na spłatę zaciągniętego kredytu.

Przychody z eksploatacji tych statków w omawianym okresie szacowane są na ponad 900 mln zł dewizowych, z czego ponad 300 mln zł dewizowych przypada na wpływy z drugiego obszaru płatniczego, przy kosztach poniesionych w tym obszarze w granicach około 160 mln zł dewizowych. Łączna nadwyżka dochodów nad wydatkami przekracza 750 mln zł dewizowych, w tym w II obszarze płatniczym ponad 140 mln zł dewizowych.

Szacunek ten wskazuje nie tylko na dużą efektywność kredytowych zakupów statków, ale również na większą efektywność eksploatacji statków przez krajowych armatorów niż ich eksportu na zasadach kredytowych.

PRZEMYSŁ DRZEWNY

W ostatniej korekcie NPSG na br. zwraca uwagę ograniczenie planów produkcji mebli (o 2,7 mld zł), celulozy (o około 20 tys. ton) i papieru (o ponad 25 tys. ton) oraz płyt pilśniowych (o 2 mln m kw.) i płyt wiórowych (o 45 tys. m sześć). Priorytet tych ograniczeń są, jak się wydaje, w stosunkowo nieznacznie stopniu ograniczone możliwości importu materiałów. Główną rolę odgrywają tu chyba opóźnienia w oddawaniu obiektów do eksploatacji oraz zakłócenia w pozyskiwaniu i wywozie drewna z lasu. Funkcjonowanie tego odcinka gospodarki wymaga więc wzmocnionej uwagi. Potrzeby gospodarki wskazują bowiem na pilną potrzebę poprawy wykorzystania drewna z lasów. (Sb)

STRATY W SKR

Spółdzielnie kolek rolniczych na wielu terenach ponoszą duże straty w działalności usługowej, a zwłaszcza w działalności produkcyjnej. W związku z tym Bank Gospodarki Żywnościowej podejmuje liczne przedsięwzięcia zmierzające do zdyscyplinowania ich gospodarki.

W celu zaktywizowania działalności banków zmierzającej do poprawy gospodarki spółdzielni kolek rolniczych, przewiduje się, że w drugim półroczu br. będą rozwiązywane umowy kredytowe z tymi SKR, które nadal prowadzić będą niewłaściwą gospodarkę i ponosić straty. Poczynając natomiast od 1981 r. banki nie będą podejmować kredytowania SKR, w których już w założeniach planu rocznego przewidywane będą straty. Spółdzielnie pracujące szczególnie źle będą więc likwidowane. (Sb)

CENY PASZ

W lipcu br. w porównaniu z lipcem ub.r. ceny miejscowe pasz na bywanych przez rolników w transakcjach wolnorynkowych wykazywały wyraźną tendencję wzrostową, a zwłaszcza żyta (o 28 proc.), ziemniaków (o 16,8 proc.) siana łąkowego (o 28,3 proc.) i słomy zbóż ozimych (o 20,7 proc.).

Najwyższe wzrosty cen żyta notowano na terenie województw: miejskiego krakowskiego (o 53 proc.), tarnowskiego (o 46,6 proc.) oraz płockiego, radomskiego, rzeszowskiego i tarnobrzyskiego (w granicach 41 do 43 proc.).

Najwyższe wzrosty cen ziemniaków notowano w województwach: radomskim (o 60 proc.), piotrkowskim (o 54 proc.), ciechanowskim (o 59 proc.) i kieleckim (o 48 proc.) i płockim (o 40 proc.). Równolegle na wielu terenach miał jednak miejsce spadek cen ziemniaków.

Również ceny siana i słomy na niektórych terenach wykazywały szczególnie wydatne wzrosty.

Wahania cen pasz w czerwcu wskazują na potrzebę pogłębienia regionalnych analiz sytuacji paszowej, jaka ukształtuje się w najbliższych miesiącach pod wpływem nowych zbiorów. (Sb)

USLUGI stały się tematem równie drażliwym, jak handel. Słowo to wywołuje potok narzekania i utyskiwań. A to, że punktów sprzed za mało, że usługi wykonywane są niesolidnie i nieterminowo itp., itp.

Najwięcej mogą na ten temat powiedzieć mieszkańcy nowych osiedli, które nie tylko pod tym względem są istną pustynią. Infrastruktura od dawna nie nadąża już za nowo oddawanymi do użytku mieszkaniem i z każdą parą nie podzielanymi butami czy torbą brudnej bielizny, chcąc nie chcąc, trzeba odbywać często długie wędrówki. Jest rzeczą oczywistą, że punkty świadczące usługi podstawowe powinny się znajdować tuż pod nosem, w promieniu kilkuset metrów. Nie ma takiej potrzeby w odniesieniu do innych, z których korzysta się znacznie rzadziej. W takich przypadkach wszyscy tłumnie jadą do Śródmieścia. Tylko czy dzielnica ta jest w pełni predysponowana do pełnienia roli zaplecza usługowego dla stolicy?

Wciąż za mało

Jeśli spojrzymy na warszawską sieć punktów usługowych, to Śródmieście wydaje się być pod tym względem uprzywilejowane — aż roi się tu od małych zakładów usługowych: rzemieślniczych i spółdzielczych. Największe ich zagęszczenie występuje w rejonie Centrum. Pod koniec ubiegłego roku w granicach Śródmieścia funkcjonowały 2944 zakłady usługowe o łącznej powierzchni 165 983 m kw., co sprawiło, że wskaźnik liczby zakładów przypadających na 10 000 mieszkańców był tu dwukrotnie wyższy, niż w innych rejonach Warszawy. Gdyby dane te dotyczyły Żoliborza czy Ochoty, byłyby na pewno imponujące. W odniesieniu do Śródmieścia jednak, z którego sieci korzystają mieszkańcy całej stolicy, okolice podwarszawskich i turyści — są nader skromne.

W poprzednim pięcioleciu na skutek częściowej przebudowy Śródmieścia, likwidacji starych i całkiem jeszcze dobrych, lecz koniecznych do usunięcia ze względu na budowę Trasy Łazienkowskiej i Dworca Centralnego budynków, sieć usługowa zmniejszyła się o ponad 200 zakładów. W ostatnich latach otworzono ten potencjał — od 1977 roku uruchomiono 422 nowe punkty, których gospodarzem jest głównie Izba Rzemieślnicza i Stoleczny Związek Spółdzielczości Pracy. Pomimo zwiększającej się liczby zakładów ich sieć nie jest w stanie zaspokoić stałe rosnących potrzeb. Sytuacja pogarsza się jeszcze z powodu dysproporcji między rozwojem poszczególnych branż. Niektóre z nich są reprezentowane przez pojedyncze, bądź nieliczne zakłady, jak chociażby naprawa sprzętu sportowego czy wyrób obuwia ortopedycznego i sprzętu rehabilitacyjnego.

Określić wielkość popytu na usługi danego rodzaju można między innymi na podstawie terminu ich wykonywania. Pomimo iż krawcy należą do grupy najliczniejszej (sami punkty krawieckie lekkiego jest w Śródmieściu około 600) to okresy oczekiwania na realizację zamówienia wydłużają się do 6-8 tygodni. Rekordy biją terminy w krawiectwie ciężkim: uszycie płaszcza — 5 miesięcy, a garnitur męskiego — 3 miesiące. Usługi odzieżowe, w ramach usług przemysłowych, stanowią 30 proc., a potrzeby zaspokajają w ok. 60 proc. Oczywiście, terminów nie można traktować jako bezwzględny kryterium oceny popytu. Solidne uszycie garnituru wymaga podobno 65 godzin pracy. Termin ten można przedłużyć do 2 tygodni, miesiąc, ale nie dziesiętkrotnie. Termin trzymiesięczny świadczy albo o bardzo dużej ilości zleceń, lub też o tym, że niektórzy usługodawcy nie zawsze chcą się bawić w świadczenia usług. Wola w handel, sprzedając gotowe wyroby. Preponując tak absurdalny termin, liczą na to, że klient zrezygnuje — kupi gotowy wyrób

A MOŻE KONCENTRACJA



W Śródmieściu aż roi się od małych zakładów usługowych — jest ich jednak wciąż za mało.

Fot. T. MÜLLER

lub pójść gdzie indziej. Jest to ponoć dość często stosowany chwyt, gdyż odmówić wykonania usługi nie można.

Na skrócenie terminu realizacji usług krawieckich wpłynęłyby w znacznym stopniu szersze wprowadzenie nowoczesnych form ich świadczenia, jak chociażby metod półprzemysłowych. Nie cieszą się one jednak dużym powodzeniem wśród usługowców.

W niewielkim stopniu zaspokojone są również potrzeby na reperaturę mebli. Nie uswiadczy się zakładu, który szybko naprawi stół czy krzesło. Usługi te wykonywane są niechętnie ze względu na dużą pracochłonność a małą wartość. Prędzej zniechęci się klienta, niż bez słowa przyjmie zamówienie.

Szwankują również usługi napraw zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego. Brak części zamiennych powoduje wydłużanie się terminu nawet do kilku miesięcy.

Rozwój usług i ocena istniejącej obecnie sieci była przedmiotem czerwcowych obrad Plenum KD PZPR i DK Stronnictwa Demokratycznego Warszawa-Śródmieście. Według oceny przedstawionej na Plenum w sposób dostateczny zaspokojone są potrzeby w zakresie czyszczenia garderoby, fryzjerstwa czy fotografii czarno-białej. Duże niedobory występują wśród usług motoryzacyjnych, szklarskich, stolarskich, napraw art. gosp. domowego oraz sprzętu projekcyjnego i filmowego, a także pralni białego.

Specyficzna funkcja

Ulice Śródmieścia przemierzają co dzień tłumy. Większość przyzwyczaiła się już do robienia tu sprawunków, a także korzystania z sieci usługowej. Głównie zapewne z dwóch powodów. Po pierwsze, że sieć, pomimo dużych braków, jest jednak najlepiej rozwinięta w porównaniu z

innymi dzielnicami, a po drugie, znajduje się na głównym trakcie: praca — dom większości warszawiaków. Przepływający dzienny strumień potencjalnych odbiorców usług stawia przed gospodarzami dzielnic, jak też gestorami usług szczególne zadania.

W tej chwili potencjał usługowy Śródmieścia niejako z konieczności pełni rolę dostawcy usług dla mieszkańców całej stolicy. W związku z tym może warto byłoby się zastanowić nad jego zagospodarowaniem pod tym właśnie kątem. Oczywiście bez popadania w skrajność i kierowania się hasłem: „Usługi tylko w Śródmieściu i nigdzie indziej”. Usługi podstawowe powinny być świadczone w każdym, nawet najodleglejszym rejonie miasta. Wydaje się jednak, że pewna koncentracja byłaby jak najbardziej pożądana. Skupienie obojętne kilku zakładów krawieckich, szewskich, jubilerskich, naprawy sprzętu elektronicznego, daje klientowi możliwość wyboru tego, który mu najbardziej odpowiada, pod względem ceny, terminu. Z drugiej strony — nie zmusza do kursowania po całej Warszawie i straty czasu w poszukiwaniu określonego zakładu. Idealnie byłoby stworzenie „całych ciągów” — „uliczek” świadczących usługi tej samej branży. Zdaje sobie sprawę jednak, że w realizacji byłoby to dosyć trudne. Ponadto właśnie w Centrum powinny się znaleźć zakłady świadczące usługi unikalne, specjalistyczne, które mają dość wąski krąg odbiorców. Koncentracja wreszcie wpłynęłaby prawdopodobnie na podwyższenie samej jakości usług, wyzwalając konkurencję pomiędzy sąsiadującymi ze sobą zakładami.

Do najważniejszych gestorów usług w Śródmieściu należy rzemieślniczy. Ponad 2 tysiące zakładów rzemieślniczych stanowi 68,2 proc. ogólnej ich liczby w dzielnicy, uczestnicząc jednocześnie w ogólnej powierzchni

sieci usługowej tylko w 38,6 proc. a to z tego względu, że ponad jedną trzecią tych zakładów znajduje się w mieszkaniach.

Badażę w 1976 roku w Urzędzie Dzielnicy opracowano długofalowy program zagospodarowania Śródmieścia. Był on integralnie związany z mającymi się odbywać remontami. Po ich przeprowadzeniu lokale na parterze i na pierwszym piętrze miały zostać przeznaczone właśnie na punkty usługowe i małą gastronomię. Prace projektowe były tak dalece zaawansowane, że za nimi szły konkretne decyzje, co w którym budynku będzie się znajdowało. Ale, że remonty się opóźniały, więc cała sprawa upadła.

Działania na miarę możliwości

Generalna poprawa sytuacji usługowej może nastąpić jedynie drogą uruchomienia nowych punktów. Pozyskiwanie lokali jest jednak rzeczą niezwykle trudną. Wielu rzemieślników chętnie otworzyłoby w rejonie Centrum czyli w tzw. dobrym punkcie — zakłady własnym kosztem, a daptując lokal tylko przy użyciu swoich środków. Nie jest to jednak wystarczający argument, aby wykwaterować osoby mieszkające na parterze i pierwszym piętrze. Po niemałych wysiłkach udaje się rocznie zorganizować około 20 placówek drogą rewindykacji lokali zajętych przez biura i magazyny. Ale jest to kropla w morzu. Wydaje się, że przesadą jest rezygnacja z jeszcze jednego źródła lokali — suterenu i wysokich piwnic. Z powodzeniem mogłyby tam znaleźć lokum wszelkie punkty naprawy sprzętu i wiele innych usług.

Skoło jednak uzyskiwanie nowych lokali przychodzić tak trudno, w maksymalnym stopniu należy wykorzystać bazę już istniejącą. Między innymi przez przeprowadzanie mo-

dernizacji i remontów. W większości zakładów krawieckich, szewskich, kuśnierskich znajdują się maszyny sprzed 40 lat, dawno wyeksploatowane, ratowane przez właścicieli własnym sumptem. Kilka lat temu BOMIS rozprawał maszynę do szycia, które w przemyśle kluczowym były już nieużyteczne. Dziś z tego zrezygnował, większość urządzeń idzie pod młotek, a rzemieślnicy nie mają możliwości ich kupienia. W 153 zakładach po przeprowadzeniu modernizacji wydajność wzrosła od 10 proc. do 25 proc.

Poprawę w zakresie świadczenia usług próbuje się uzyskać również poprzez zwiększenie liczby zatrudnionych. Przeprowadzona w 70 zakładach lustracja wykazała, że w wielu z nich pracuje jedna lub dwie osoby, a mogłoby kilkanaście. Dotyczy to także zakładów uspołecznionych, gdzie brak chętnych do pracy. Nieco lepiej sytuacja wygląda w rzemiośle, które bardzo dużą wagę przywiązują do szkolenia młodych. W 1980 roku w zakładach rzemieślniczych przyrzuca się do zawodu około 4200 uczniów, o 400 więcej niż w roku ubiegłym. Izba Rzemieślnicza nawiązała ścisłą współpracę z Wydziałem Zatrudnienia i Spraw Socjalnych, Kuratorium i Zakładem Doskonalenia Zawodowego, ale warszawska młodzież od dawna nie garnie się do pracy w rzemiośle. Duże rezerwy kadrowe stanowi natomiast młodzież z innych rejonów Polski. Na przyjęcie jej na naukę nie zezwalają jednak przepisy, które wyraźnie określają, że w m. st. Warszawie mogą się szkolić w zakładach usługowych tylko ci, którzy są zameldowani w woj. warszawskim. Jest to duża bolączka dla rzemiosła, zwłaszcza że „stara wiara” w niektórych branżach po przeprowadzeniu 50 lat w fachu, zaczyna się już wykruszać, a godnych następców brak. Zmiana niektórych przepisów wpłynęłaby na odnowienie kadry, przy jednoczesnym utrzymaniu kwalifikacji na odpowiedniej wysokości. Rzemieślnicy często narzekają że jedne przepisy, jak te dotyczące uczniów hamują rozwój rzemiosła, inne zniekształcają nieco jego obraz i dotychczasowy kształt. Główne zastrzeżenia mają do decyzji podjętej w 1972 r., kiedy to zniesiono wymagania dotyczące odokumantowania kwalifikacji zawodowych przy prowadzeniu usług bieliźniarskich i krawiectwa lekkiego. Obecnie około 10 proc. właścicieli otwierających zakłady tych branż posiada kwalifikacje w tym kierunku, reszta opiera się głównie na żurnalach mody. Prowadzi to do wypaczenia roli rzemiosła. Coraz trudniej jest uszyć solidny płaszcz czy garnitur, łatwiej kupić byle jaką bluzkę lub sukienkę. Taka decyzja była może w pewnym okresie słuszną, gdyż ujawniła wiele nielegalnie działających zakładów. Ich właściciele resztą do tej pory kwalifikacje już zdobyli. Przybywają jednak nowi, bez żadnego przygotowania. Cech Krawców i Rzemiosł Włókienniczych występował w związku z tym do Izby Rzemieślniczej i Centralnego Związku Rzemiosła. Od 1974 roku jednak nie otrzymał odpowiedzi.

Kolejną próbą poprawy funkcjonowania usług jest wprowadzenie w zakładach uspołecznionych, na większą skalę niż dotychczas, dwumianowego systemu pracy, a także szukanie kadr wśród rencistów i emerytów. Nawet zatrudnienie ich w niepełnym wymiarze czasu pracy mogłoby złagodzić niektóre luki kadrowe.

Wspominałam tu tylko o niektórych aspektach czy problemach, z jakimi borykają się usługi. Brak kadr, lokali, surowców, sprawa, że funkcjonują tak — jak funkcjonują. Nie nie wskazuje na to, że tzw. „zielone światło” dla rzemiosła poprawi sytuację. Biorąc to pod uwagę, warto się zastanowić nad stworzeniem w Śródmieściu owego kwadratu usługowego, pełniącego zaplecze dla całej stolicy. Bez popadania w skrajność oczywiście.

orzecznictwo

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZAKŁADU PRACY ZA KRADZIEŻ ZŁOTEJ OBRACZKI PRACOWNIKA

Zagadnienie zakresu odpowiedzialności zakładu pracy za rzeczy wniesione przez pracownika na teren zakładu ciągle jeszcze budzi wątpliwości, czego dowodem może być przytoczona poniżej sprawa, która dotarła do Sądu Najwyższego, uzyskując jego stanowisko.

Jerzy Z. wystąpił z wnioskiem do Zakładowej Komisji Rozjemczej przy Zakładzie Remontowym Energetyki w W., domagając się zasądzenia od wspomnianego Zakładu odszkodowania m. in. za utratę obrączki, która została mu skradziona z szafki ubraniowej.

Zakładowa Komisja Rozjemcza wnioszek w tym zakresie oddaliła stwierdzając, że obrączka jako przedmiot o dużej wartości (4500 zł) nie musiała być przechowywana w szafce.

Zdaniem Zakładowej Komisji Rozjemczej wniesione przez pracownika do zakładu pracy przedmioty wartościowe powinny pozostawać w jego posiadaniu, a w szczególnie uzasadnionych przypadkach powinny być składane odpowiednio do depozytu kierownictwa lub innych uprawnionych osób.

Na skutek odwołania poszkodowanego, Okręgowy Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych zmienił zaskazane orzeczenie i dodatkowo zasądził na jego rzecz kwotę 4500 zł. Sąd ten uznał, że skoro problem nie jest bezpośrednio unormowany w kodeksie pracy, ma tu zastosowanie art. 471 kodeksu cywilnego, a to prowadzi do uwzględnienia powództwa także w odniesieniu do złotej obrączki.

Od tego wyroku minister pracy, plac i spraw socjalnych założył rewizję nadzwyczajną, zarzucając naruszenie art. 13 układu zbiorowego pracy dla przemysłu energetycznego.

Sąd Najwyższy rozpoznawszy sprawę dnia 25 lipca 1979 r. nr I PRN 76/79, wyrok Okręgowego Sądu uchylił i rozstrzygnął Jerzego Z. oddalił, wypowiadając następujący pogląd prawny:

Zakład pracy przez nawiązanie stosunku pracy przyjmuje jednocześnie na siebie obowiązek pieczy nad rzeczami pracownika wniesionymi do zakładu w związku z pracą.

Jednak obowiązek ten nie obejmuje przedmiotów wartościowych, jak obrączka, które nie przeszkadzały w pracy a pracownik pozostawił je w swojej szafce, znajdując się w ogólnej szafce.

W uzasadnieniu swego stanowiska Sąd Najwyższy zaznaczył m. in.:

„Orzeczenie Zakładowej Komisji Rozjemczej przy Zakładzie Remontowym Energetyki w Warszawie jest zgodne z prawem i dlatego odwołanie wnioskodawcy, dotyczące odszkodowania za utraconą obrączkę, nie powinno być ulec zmianie. Postępując inaczej, Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych rażąco naruszył prawo materialne, co powoduje uwzględnienie rewizji nadzwyczajnej. W myśl art. 13 Układu Zbiorowego Pracy dla Przemysłu Energetycznego z 30.XII.1974 r., kierownik zakładu pracy obowiązany jest przydzielić pracownikowi odpowiednie zabezpieczone miejsce na przechowywanie narzędzi pracy, odzieży roboczej i własnej oraz własnych środków lokomocji, jak rowery, motorowery i motocykle. W przypadku kradzieży tych przedmiotów zakład pracy obowiązany jest zwrócić pracownikowi ich wartość. Cyt. przepis nie stanowi natomiast podstawy odpowiedzialności zakładu pracy za utratę przedmiotów wartościowych, które pracownik pozostawił w swojej szafce, znajdując się w ogólnej szafce.

Sąd Najwyższy podziela pogląd, że zakład pracy przez nawiązanie stosunku pracy przyjmuje na siebie jednocześnie zobowiązanie zapewnienia pracownikowi odpowiednich warunków pracy. Do nich zalicza się również obowiązek pieczy nad rzeczami pracownika wniesionymi do zakładu w związku z pracą. Nie jest zaś takim przedmiotem obrączka w sytuacji, gdy nie przeszkadza ona wnioskodawcy w pracy i nie musiał on jej każdorazowo zdejmować i przechowywać w szafce. Za utratę złotej obrączki, w razie pozostawienia jej przez pracownika w szafce znajdującej się w szafce, zakład pracy nie odpowiada. Odpowiedzialność taka nie wynika bowiem z przepisów układu zbiorowego pracy. Nie można jej też wyprowadzić z ogólnych zasad odpowiedzialności zakładu pracy za mienie pracownika wniesione do zakładu pracy, gdyż nie rozciąga się ona na te przedmioty, które nie mają żadnego związku z pracą. (...)

Zaskazane orzeczenie — jak to trafnie zostało podniesione w rewizji nadzwyczajnej, zwalnia bezpodstawnie pracownika od zwykłej staranności i troski o zabezpieczenie ich mienia osobistego i obowiązek ten przerzuca na zakład pracy. (...)

ZMIANA CENY PRZY ROBOTACH BUDOWLANYCH

Przedsiębiorstwo Robót Wykończeniowych (podwykonawca) wystąpiło na drogę postępowania arbitrażowego, domagając się zasądzenia na

DOKONCZENIE NA STR. 8

WCIAŻ FATAMORGANA

JERZY JUROWSKI

MIJA przeszło rok od czasu, gdy w numerze 19 „Z.G.” z 1979 r. pisałem o „Nowościach z żółtym w herbie”, mając na myśli niektóre wyroby „Unitry-Dom” i „Predomu”. Piszac miałem nadzieję, że reakcja zainteresowanych zjednoczeń będzie nie tyle przysyłanie sprostowań do redakcji, ile raczej zaprzestanie długoczątelnej praktyki eksponowania na targach i wystawach prototypów, które trafiają na rynek z wieloletnim poślizgiem. Nie nadeszły jednak żadne listy, co w pewnym sensie pozwalało sądzić, że być może, zamiast pójścia na łatwiznę, producenci po prostu przyspieszą wejście inkryminowanych produktów na rynek i w ten sposób „zduszą krytykę w zarodku”. Z perspektywy ośternastu miesięcy można jednak pokusić się o pewne wnioski i myśle, że nie będą one zbyt optymistyczne.

Problem modernizacji produkcji naszego przemysłu maszynowego, zwłaszcza jeśli chodzi o masowe wytwarzanie lodówek czy magnetofonów jest kwestią być albo nie być, zwłaszcza w obecnej sytuacji płatniczej. Możliwość wejścia na rynek eksportowy i krajowy z wyrobem o przynajmniej średnich parametrach technicznych i funkcjonalnych, to jedna z dróg przywrócenia równowagi, a każdy dzień opóźnienia w wymianie asortymentu zaoferowanego na choćby średnio nowoczesny, to

wymierne straty. Kiedy widzimy, jak długo trwa przejście od prototypu do masowej produkcji dwukomorowych lodówek czy nowoczesniejszych magnetofonów kasetyowych, a jednocześnie postęp na świecie w tej dziedzinie jak gdyby ciągle przyspieszał — nielato o zachowanie spokoju. W wymienionych w cytowanym artykule: lodówek TS 245, magnetofonów Fineza i B 133 Notes, żadnego nie ma na rynku w wystarczających ilościach, a produkcja B 133 w ogóle nie została uruchomiona, mimo iż przemysł podpisał z CPHW wstępne umowy o dostawach. O ile „Predom”, nie mogąc dostarczyć zaplanowanej ilości lodówek TS 245, uruchomił niejako zastępczą produkcję innej dwukomorowej chłodziarki o nieco gorszych parametrach, to „Unitra” nie wprowadziła na rynek wprawdzie żadnego nowego zastępczego wyrobu, ale za to zaprezentowała kolejny wystawowy szlagier, w postaci tzw. zestawu mini ZM 8000.

Jak to nazwać?

Kiedy kilkanaście lat temu, po rozmaitych wystawach i targach zaczęto eksponować pomalowany na białe zestaw składający się ze wzmacniacza, tunera, gramofonu i magnetofonu szpulowego Hi-Fi, a nie było żadnych widoków, aby dostać

go w sklepie, redaktor Ibis-Wróblewski z „Życia Warszawy” ochrzcił ten dowód inwencji naszych konstruktorów mianem „Białej Damy”. Pomaluj poszczególnie elementy owego zestawu dotarły na rynek, kolumny głośnikowe na przykład w zasadzie już równoważyły popyt, jednak tradycyjnie z magnetofonami Hi-Fi są największe kłopoty. Wszystkie to jednak ma zmienić nowy zestaw, który niedawno dyrektor BRESFU „Unitra”, Jerzy Auerbach, zaprezentował w „Przeglądzie Technicznym”. Produkowany w ilości kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy rocznie, składający się z niewielkich segmentów, według ostatniej mody wzorniczej, oprócz parametrów Hi-Fi, przewyższających w zasadzie to, co obecnie mamy na naszym rynku, zestaw mini miał w dodatku mieć przystępną cenę, realizującą zasadę „Hi-Fi dla każdego”, bądź też „Kultura muzyczna — pod strzechą”.

Zainteresowanych parametrami technicznymi, doprawdy imponującymi, odsyłam do numeru 19 „Przeglądu Technicznego” z 1980 roku; tu chcemy jednak zwrócić uwagę na coś innego. Otóż na rynkach światowych tego typu zestawy są jeszcze absolutną nowością i szybkie uruchomienie ich produkcji pozwoliłoby naszej elektronice na znaczące zmniejszenie zapóźnienia w dziedzinie artykułów powszechnego użytku. Byłoby to typowe „pójście

na skróty”, ominięcie pewnego etapu i zdobycie przodującej pozycji eksportowej w naszym obozie. Jednocześnie wprowadzenie na rynek krajowy tych wyrobów miałoby ogromne znaczenie nie tylko akumulacyjne, ale również społeczne. Za jednym zamachem bowiem wprowadziłbyś na rynek towary niewątpliwie podnoszące poziom kulturalny i cywilizacyjny, a zarazem rozładowałyby nasze wieloletnie kompleksy zacofania technicznego, stereotypy, w myśl których wyrób krajowy niejako automatycznie jest gorszy o kilka lub kilkanaście lat od tego co aktualnie znajduje się w zagranicznych sklepach czy „Pewexie”.

To wszystko mogłoby się stać udziałem naszych konsumentów pod jednym warunkiem: że przestaniemy się popisywać prototypami i rzetelnie, konsekwentnie i terminowo będziemy realizować obietnice. Na razie jednak mamy do czynienia z kolejnym „widmem” czy „elektroniczną fatamorganą”, którą z prestiżowych powodów postanowiono już za-demonstrować za granicą w Paryżu, łącznie z ministrami japońskimi i europejskimi, stanowiącymi konkretną ofertę handlową — chociaż wciąż jeszcze nie ma żadnego konkretnego terminu uruchomienia produkcji żadnego z sześciu segmentów składających się na zestaw ZM 8000.

Wystawy czy produkcja?

Wydaje się, że po wielu latach doświadczeń powinniśmy wreszcie postawić kropkę nad „i” i drogą następną reorganizacji przekształcić „Unitre-Dom” z przedsiębiorstwa produkującego na przedsiębiorstwo

zajmujące się wzornictwem przemysłowym i działalnością wystawienniczą. Kolejne warszawskie wystawy wzornictwa przemysłowego dowodzą bowiem nieodparcie, iż grono współpracujących z tą firmą projektantów tworzy nieustannie i ciąga coraz ciekawsze rezultaty w projektowaniu coraz to nowocześniejszych telewizorów, wzmacniaczy i magnetofonów. Także wystawy krajowe i zagraniczne „Unitry” również imponują eksponatami. Natomiast tak przysmię sprawę, jak dostarczenie tych wspaniałych prototypów w liczących się ilościach na rynek i eksport, udają się tylko jeśli chodzi o kolumny głośnikowe. Może więc jasne postawienie sprawy pozwoliłoby chociaż na ustalenie, na czym stoimy i na co możemy liczyć w bliskiej i dalszej przyszłości. Możemy nadal ludzić się, że jesteśmy produkcyjną potęgą, zwłaszcza oglądając wydawane przez „Unitre” katalogi Hi-Fi. Jednakże produkcja tych urządzeń stanowi minimalny procent całości, w magnetofonach kasetyowych wręcz znikomy, nowe modele ciągle nie mogą wejść do produkcji, a doświadczenia użytkowników wyraźnie wskazują na niewielką niezawodność tego najdroższego, najbardziej ekskluzywnego sprzętu.

Od pewnego czasu sytuacja gospodarcza wymaga maksymalnej koncentracji wysiłków na produkcji z najlepszymi perspektywami rynkowymi i eksportowymi. Po prostu nie stać nas na marnotrawienie surowców i pracy ludzkiej na wyroby przestarzałe i nieatrakcyjne. Gdy jednak już wiemy, co trzeba jak najszybciej uruchomić, to najwyższy czas podjąć decyzję, czy interesuje nas produkcja, czy iluzoryczne sukcesy wystawiennicze i prasowe?

jego rzecz od Przedsiębiorstwa Budowlanego N. jako generalnego wykonawcy, kwoty 224 863 zł tytułem reszty wynagrodzenia za wykonanie umówionych robót wykonanych w budynkach mieszkalnych. Dochodzona kwota dotyczyła należności za wykonanie robót posadzkarskich przy użyciu wykładziny „Lentex” i „Winigum”, roszczenie zaś oparte zostało na wyjaśnieniu Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych z 21 marca 1978 r., podczas gdy roboty zostały odebrane 25 października 1977 r., a rozliczenie zostało w zasadzie dokonane w listopadzie 1977 r.

Okręgowa Komisja Arbitrażowa zasądziła dochodzoną kwotę w związku z obowiązującym od 1 września 1977 r. uzupełnieniem Cennika Materiałów Budowlanych.

Od orzeczenia OKA odwołał się pozwany generalny wykonawca.

Główna Komisja Arbitrażowa rozpoznawszy sprawę (nr IP-9739/78) orzeczeniem OKA zmieniła i wniosła Przedsiębiorstwu Robót Wykończeniowych oddaliła, wypowiadając następujący pogląd prawny:

Przedsiębiorstwu nie służy roszczenie o dopłatę na podstawie wyższej ceny, nowo ustalonej już po wykonaniu i rozliczeniu umówionych robót.

W uzasadnieniu GKA zaznaczyła m. in.:

„Pozwany generalny wykonawca trafnie wywodzi w odwołaniu, iż pomiędzy stronami doszło do ustalenia wiążącego wynagrodzenia za wykonanie przedmiotu umowy w trybie § 40 ust. 5 o.w.r.i., czego zresztą powodowy wykonawca nie kwestionował.

Wynagrodzenie to zostało ustalone na podstawie Katalogu Cen Obiektów przy uwzględnieniu dopłaty z tytułu zastosowania wykładziny podłogowej typu „Lentex” i „Winigum”, skalkulowanej indywidualnie w formie „rachunku różnicowego” zgodnie z zasadą wskazaną w pkt 9.4 w Biuletynie Informacyjnym nr 1/76 Departamentu Ekonomiki i Finansów Ministerstwa Budownictwa i PMB. Wynagrodzenie podwykonawcy zostało zatem ustalone w sposób prawidłowy, odpowiadający obowiązującym w owym czasie cennom i zasadom kosztorysowania. Ustalone wynagrodzenie wykonawcy może ulec zmianie, jeżeli zaistnieją po temu podstawy określone w § 43 ust. 2 o.w.r.i.

Uzgodnienie wynagrodzenia przez strony miało miejsce w sierpniu 1977 r. Odbiór robót nastąpił w dniu 25.X.1977 r., a rozliczenie zostało dokonane w listopadzie 1977 r.

W sprawie było bezsporne, iż w wyniku tego rozliczenia powodowy podwykonawca otrzymał omówione wynagrodzenie, a zatem strony spełniły świadczenie wzajemne zgodnie z dyspozycją § 8 o.w.r.i.

Powodowy podwykonawca wystąpił z roszczeniem o zapłatę kwoty 224 863 zł w lipcu 1978 r. i roszczenie swe wywodzi z § 43 ust. 2 pkt 1 o.w.r.i. Przepis ten stanowi, iż wynagrodzenie wykonawcy może ulec zmianie w razie urzędowej zmiany cen produkcji budowlano-montażowej.

Cena robót związanych z wykonaniem posadzek typu Lentex i Winigum została wprowadzona w formie uzupełnienia do KCK nr 3-02 w Biuletynie Informacyjnym nr 2/77, co zostało wyjaśnione w piśmie Ministerstwa Budownictwa i PMB z dnia 21.III.1978 r. Cena powyższa obowiązuje od dnia 1.XII.1977 r., a zatem nie mogła stanowić podstawy do zmiany wynagrodzenia powodowego podwykonawcy, skoro już przed tą datą powodowy podwykonawca wykonał przedmiot umowy i uzyskał z tego tytułu prawidłowo ustalone wynagrodzenie umowne.

Z powyższego pisma Ministerstwa Budownictwa wynika, iż zawiera ono wyjaśnienie na ogólne sformułowane pytanie co do podstawy wyceny wykładzin podłogowych i nie daje odpowiedzi na pytanie, czy podwykonawcy przysługują dopłaty wyliczone zgodnie ze wskazaną podstawą wyceny za roboty realizowane i odebrane przed wprowadzeniem uzupełnienia do KCK nr 3-02.

W tych warunkach, skoro powodowemu podwykonawcy nie służy roszczenie o zmianę ustalonego wynagrodzenia na podstawie § 43 ust. 2 pkt 1 o.w.r.i. — brak jest podstaw do żądania przez niego dodatkowych dopłat, przewyższających prawidłowo ustalone i uzyskane wynagrodzenie, wyliczone na podstawie ceny zmienionej po wykonaniu umowy, gdy wzajemne świadczenia stron zostały spełnione.

Mając powyższe na uwadze, Główna Komisja Arbitrażowa zmieniła zaskarżone orzeczenie (...) i oddaliła wniosek obciążający powodowego podwykonawcę kosztami postępowania za obie instancje (...).

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA

DOBRA CZY ZŁA METODA FINANSOWANIA INWESTYCJI

JERZY SOKOŁOWSKI

ARTYKUŁ A. Łukaszyka „W kwestii samofinansowania inwestycji” („Z.G.” nr 19/1980) polemizujący z wcześniej opublikowanym artykułem Macieja S. Wiatara „Samofinansowanie inwestycji” („Z.G.” nr 14/1980) zawiera szereg dyskusyjnych sformułowań. Autor neguje konieczność bodźcowego oddziaływania funduszu rozwoju na założenie i kierownictwo. W związku z tym uważa, że tworzenie funduszu samofinansowania jest niecelowe. Proponuje zastąpienie finansowania inwestycji z funduszu własnych kredytów bankowych.

Faktem bezspornym jest, że motywacyjność funduszu samofinansowania, czyli funduszu rozwoju ulega w ostatnich latach znacznemu ograniczeniu ze względu na: podmiotowy podział inwestycji, limitowanie inwestycji także odwoznościowo-moderacyjnych, coroczne ustalanie normatywnych funduszy wolnych od opodatkowania, wysoki stopień centralizacji środków funduszu przez zjednoczenia. Ograniczenia motywacyjność funduszu rozwoju w obecnych warunkach sprowadza się do oddziaływania na postawy pracowników wykonujących funkcje kierownicze. Dla kierownictwa przedsiębiorstwa bardziej opłaca się wykorzystać własne środki w ramach limitu niż korzystać z drogiego kredytu (stopa oprocentowania kredytu inwestycyjnego wynosi 8 proc.). Oprócz amortyzacji inwestycja kredytowa splanowana jest także z części zysku, co wpływa na wielkość funduszu premiewego.

Problem jednak tkwi w tym, że siła motywacyjna funduszu premiewego maleje po przekroczeniu pewnej wartości ze względu na silne progresywne opodatkowanie nadwyżek funduszu ponad poziom z okresu bazowego. Stąd stopniowa regresja nadwyżek funduszu premiewego jest barierą wzrostu motywacyjności funduszu rozwoju.

Niezależnie od bodźców materialnego zainteresowania występuje także „motywacja aspiracji postępu”¹⁾

związana z funkcjonowaniem funduszu rozwoju. Oddziałuje ona zarówno na kierownictwo, jak i załogę. Przy obecnych warunkach ograniczających oddziaływanie to jest stosunkowo słabe. Nie należy o niej jednak zapominać, gdyż może być ważnym bodźcem wyzwalającym inicjatywę wśród pracowników organizacji gospodarczych pod warunkiem, że decyzje związane z wykorzystaniem funduszu rozwoju będą zapadały na szczeblu przedsiębiorstwa.

Motywacyjność oddziaływania funduszu rozwoju tylko wtedy wzrośnie, gdy jego wykorzystanie na inwestycje nie będzie konsekwencją przekazywania nakazów czy limitów, ale gdy zakres samofinansowania wyznaczony przez system instrumentów finansowych będzie pokrywał się z zakresem samodzielnego podejmowania decyzji inwestycyjnych²⁾. Zakres samofinansowania, a więc: decydowanie o inwestowaniu w projekcie, być zróznicowany dla poszczególnych branż w zależności od preferencji społecznych.

W obecnych warunkach funkcjonowania gospodarki oddziaływanie kredytu na proces ekspansji inwestycyjnej też jest nieskuteczne. Popyt na dobra inwestycyjne nie zostaje ograniczony przez wysokie oprocentowanie z kilku względów.

Po pierwsze, znaczny odsetek organizacji gospodarczych osiąga duże zyski (które nie zawsze są wynikiem dobrej pracy przedsiębiorstwa) pozwalające na zapłacenie odsetek.

Po drugie, przedsiębiorstwa zainteresowane są tworzeniem funduszu rozwoju do granicy „przodu”, gdyż nadwyżka podlega wysokiej progresji. Stąd nie zależy im na maksymalizacji zysku netto, „chętnie” więc korzystają z tego źródła spłat kredytu.

Wreszcie ze względu na stopniową regresję, obciążenia nadwyżek funduszu płać, rozwiązanie polegające na wprowadzeniu do konstrukcji produkcji dodanej oprocentowania kredytu nie zdało egzaminu, gdyż nie spowodowało ograniczenia popytu na kredyt, a co za tym idzie, nie stworzyło silnego mechanizmu hamowania ekspansji inwestycyjnej.

Przyczyn nadmiernej ekspansji inwestycyjnej nie należy więc doszukiwać się w nadmiarze środków finansowych pozostawionych w organizacjach gospodarczych, ale w tym, że system ekonomiczno-finansowy w warunkach niewłaściwego układu cen, niskiej efektywności funkcjonujących instrumentów finansowych³⁾, ilościowych kryteriów oceny organizacji gospodarczych, rozdzielnictwa czynników produkcji nie może pełnić funkcji reduktora nadmiernej skłonności do inwestowania, niezależnie od źródeł finansowania.

Nie mogę zgodzić się ze stanowiskiem H. Łukaszyka, który stwierdza, „nie może dawać poszczególnym jednostkom gospodarczym korzyści przyrostu majątku produkcyjnego”.

Jeżeli przedsiębiorstwa dobrze pracują i osiągną z tego powodu zysk, to powinny mieć z tego zysku pewne korzyści. Nie można dopuszczać do sytuacji, gdzie przedsiębiorstwa osiągające lepsze wyniki ekonomiczne odprowadzają całe wygośparowane nadwyżki do budżetu i jednostek nadrzędnych, a przedsiębiorstwa źle pracujące otrzymują z tych źródeł dotacje. Z reguły przedsiębiorstwa wysoko rentowne i tak odprowadzają większą część nadwyżek do budżetu, z których finansowane są cele ogólnospołeczne.

Przyrost majątku produkcyjnego o pożądaną strukturę jest jednym z podstawowych czynników rozwoju gospodarczego, powinien zapewnić

nie tylko korzyści załozce organizacji gospodarczej, ale także całemu społeczeństwu. Nieuwzględnianie potrzeb przedsiębiorstw w zakresie możliwości ich rozwoju wpływa na zmniejszenie zainteresowania w rozszerzeniu majątku produkcyjnego, a co za tym idzie, na obniżenie korzyści, jakie z tego tytułu czerpie społeczeństwo. Dowodzą temu wcześniejsze rozwiązania systemowe, które nie zapewniały przedsiębiorstwom własnych środków na rozwój.

Jak już wcześniej powiedziano, motywacyjnie oddziaływanie funduszu rozwoju znacznie wzrosło, gdy zostaną zniesione wyżej wymienione czynniki ograniczające. Jednak warunkiem zniesienia instrumentów dyrektywnego sterowania inwestycjami jest skonstruowanie takiego mechanizmu ekonomiczno-finansowego, który zapewniłby pożądaną strukturę inwestycji finansowanych z własnych środków. Mechanizm ten musiałby zawierać również instrumenty przywracające naruszenia równowagi.

Podstawowym warunkiem skuteczności funkcjonowania w naszej gospodarce określonego mechanizmu ekonomiczno-finansowego jest doskonałość cen środków inwestycyjnych jako podstawowych parametrów rachunku efektywności inwestycji.

Drugim warunkiem sprawności mechanizmu jest zapewnienie skuteczności oddziaływania instrumentów finansowych nie tylko na hamowanie skłonności do inwestowania, ale właśnie na pożądaną strukturę i strukturę inwestycji finansowanych z własnych środków przedsiębiorstw. Wtedy przedsiębiorstwa mogłyby decydować nie tylko o wymiarze poszczególnych maszyn czy urządzeń, ale także o zmianie technicznego wyposażenia niektórych wydziałów, modernizacji linii technologicznych. Decyzje dotyczące metod wytwarzania powinny być podejmowane na szczeblu przedsiębiorstwa.

Szczególnie ważne jest zapewnienie stabilizacji zasad funkcjonowania instrumentów ekonomiczno-finansowych, bardziej chyba niż stabilizacji samych instrumentów, gdyż ich sztywność nie daje możliwości elastycznego oddziaływania na gospodarkę organizacji gospodarczych. Niemniej jednak, niektóre normy powinny być stałymi parametrami rachunku ekonomicznego, muszą być niezmiennie w dłuższym okresie w odniesieniu do decyzji rozwojowych.

¹⁾ Por. J. Pałestka: „Determinanty postępu”, PWE, Warszawa 1979, s. 261.

²⁾ Por. A. Kierczyński: „Swoboda decyzji w organizacjach gospodarczych”, PWE, Warszawa 1979, s. 253.

³⁾ Por. R. Szarota: „Funkcjonowanie funduszu rozwoju”, „Finanse” nr 11/78, s. 7.

⁴⁾ Por. J. Szczepański: „Instrumenty finansowe a efektywność gospodarowania”, „Finanse” nr 3/79, s. 5.

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

JANUSZ STEFANOWICZ — „EUROPA POWOJENNA”. Wyd. 2. Dobre, s. 479, z 53.

Autor, dziennikarz, publicysta i historyk, specjalizuje się w stosunkach międzynarodowych i historii najnowszej. W książce przedstawia historię polityczną Europy w latach 1945–1975 (do finału Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy).

KAZIMIERZ KORZAN — „ARBITRAŻ I POSTĘPOWANIE ARBITRAŻOWE”. Skrypt dla studentów prawa i administracji, s. 272, z 34.

Skrypt zawiera obszerny materiał dotyczący działalności Państwowego Arbitrażu Gospodarczego. Składa się z dwóch części. Pierwsza obejmuje problematykę działalności gospodarczej i rozstrzygnięcia sporów powstałych na jej tle. Cz. 2 poświęcona jest omówieniu zagadnień dotyczących postępowania arbitrażowego.

BOGDAN CYTUNEL — „ORGANIZACJA I EKONOMIKA BUDOWNICTWA KOMUNIKACYJNEGO”. Skrypt dla wyższych szkół technicznych, s. 251, z 2 tabl., z 35.

Na treść skryptu składa się ogólna charakterystyka budownictwa komunikacyjnego, omówienie organizacji jednostek wykonawstwa inwestycyjnego oraz wiadomości z zakresu teorii organizacji i zarządzania.

WOJCIECH ZIETARA — „PODEJMOWANIE DECYZJI W PRZEDSIĘBIORSTWACH ROLNICZYCH”. s. 55, i tabl., z 20.

PAN. Wydział Nauk Rolniczych i Leśnych. Rocznik Nauk Rolniczych. Seria D. Monografie. T. 172.

W pracy sformułowano zasady organizacji zarządzania przedsiębiorstwem rolniczym na podstawie obserwacji przemian zachodzących w organizacji przedsiębiorstw i wyników badań sondażowych przeprowadzonych w latach 1972–1974. Omówiono zakres podejmowania decyzji przez dyrektora przedsiębiorstwa, jego zastępców, specjalistów i kierowników zakładów, a także jednostek spółdzielni.

MICHAŁ KACZOROWSKI — „POCZĄTKI ODBUDOWY KRAJU I STOLICY. 1944–1947”. s. 30, i tabl., z 50, Warszawa.

Książka prezentuje całokształt problematyki odbudowy kraju w latach 1945–1949 na tle stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych oraz na tle historycznych przemian, które wyznaczyły jej kierunek i zapewniły rozwój na dalsze lata. Osobny rozdział poświęcił autor charakterystyce odbudowy głównych miast kraju, w tym także stolicy.

MŁODZIEŻOWA AGENCIA WYDAWNICZA

BRONISŁAW SYZDEK — „LATA DECYZYJNYCH PRZEMIAN”. Szkice z historii Polski Ludowej 1944–1959, s. 240, z 25, BWA Aktywny ZNSP.

Książka jest próbą ukazania, w jakich warunkach i na jakich zasadach tworzone Polskę Ludową. Najwięcej uwagi poświęcono problemom przemian społeczno-ustrojowych dokonanych w pierwszych powojennych piętnastoleciu. Ponadto omówiono takie sprawy, jak nacjonalizacja przemysłu, reforma rolna, walka z reakcyjnym podziemiem, reforma oświaty i demokratyzacja kultury.

„OSSOLINEUM”

STUDIA PRAWNO-EKONOMICZNE. T. 22, s. 152, z 43, Łódźskie Tow. Naukowe.

Z treści: J. Wróblewski. Epistemologiczne i aksjologiczne uwarunkowanie tworzenia prawa; M. Róś — Zasada racjonalnej decyzji w polityce; W. Kasperkiewicz — Pojęcie i charakterystyka działalności innowacyjnej; H. Maj — Niektóre metody ustalania cen na nowo wyroby w ZSRR; W. Juszcak — Ekonometryczna analiza zapasów — model Baisleya — Childsa. Recenzje. Streszczenia artykułów w jęz. ang.

KRZYSZTOF WÓJTOWICZ — „PARTIA W MECHANIZMIE WŁADZY PAŃSTWA AFRYKI WSCHODNIEJ”. s. 176, z 35.

Autor omawia funkcjonowanie niektórych instytucji polityczno-ustrojowych w krajach Afryki Wschodniej — Tanzanii, Kenii i Ugandzie. Przedstawia zasady kierunki rozwoju konstytucyjnego, charakteryzuje partie i organizacje państwowe w Afryce Wschodniej, partie w systemie reprezentacji, kontrolę polityki rządowej w parlamencie i organach partyjnych oraz stosunki między partią i prezydentem.

JOEL CARLSON — „NIE MA NEUTRALNOŚCI”. Tł. z ang., s. 267, 10 tabl., z 70.

Autor przedstawia sytuację polityczną i prawną ludności afrykańskiej w Republice Południowej Afryki. J. Carlson, prawnik z wykształcenia, brał udział przez wiele lat w procesach, broniąc Afrykanów przeciwko rządowi białej mniejszości. W końcu, sztytano, wzmuszony był opuścić kraj. Książka składa się z 18 opowiadań — historii ludzi przetrwałych przez ustawodawstwo w RPA.

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

EUGENIUSZ STANCZYKIEWICZ, STANISŁAW ZAPOLSKI, BOGUSŁAW GAŚNICKI — „SOCJAŁISTYCZNA KOALICJA OBRONNA”. s. 200, z 15.

Książka poświęcona Układowi Warszawskiemu — obronemu sojuszu państw wspólnoty socjalistycznej. Omówiono oddzielenie miejsc Polski Ludowej w systemie obronnym socjalistycznego przymierza. Zwroć uwagę na pokojową ofensywę państw Układu Warszawskiego w ostatnich latach — ich walkę o odrębnienie militarne w Europie. Załączono aneksy materiały z polowych wypraw i ogłoszeń różnych organów Układu, deklaracje, komunikaty, przemówienia.

WŁADYSŁAW RĄTYSKI — „DEMOKRACJA SOCJALISTYCZNA”. s. 204, z 20.

Autor przedstawia zagadnienia demokracji socjalistycznej w świetle koncepcji marksistowsko-leninowskiej i doświadczeń krajów socjalistycznych, w tym zwłaszcza PRL. Omawia istotę przesłanki demokracji socjalistycznej. Najwięcej miejsca poświęca charakterystyce poszczególnych form demokracji — bezpośredniej i przedstawicielskiej, państwowej i pozapaństwowej, społecznej, politycznej, ekonomicznej. Podkreśla rolę partii w rozwoju demokracji socjalistycznej.

liwości włączenia ich do syntetycznych wskaźników dobrobytu. Analiza ta prowadzi do wniosku o niewiele, takiej ich przydatności, gdyż „... dla polityki społecznej sprawą bardzo istotną jest dysponowanie nie tylko informacją o zróżnicowaniu... wyrażoną za pomocą jednego wskaźnika. ... Niezbędne jest dysponowanie informacjami szczegółowymi o faktycznym zróżnicowaniu oraz o pełnym kształcie rozkładu.” W kontekście działań polityki społecznej zmierzających do zmniejszenia nierówności L. Zielenkowskiego rozważa problem minimum socjalnego. Prezentuje tutaj pogląd o konieczności zastąpienia jednego wskaźnika minimum trzema. Minimum życiowe obliczane byłoby na poziomie minimum biologicznego i wykorzystywane dla ustalania zasiłków z funduszy społecznych. Minimum socjalne w ujęciu absolutnym, ustalone na poziomie zaspokajającym w danym momencie ambicje społeczne byłoby miernikiem oceny polityki społecznej. Trzeci wskaźnik to minimum socjalne w ujęciu względnym (obliczane jako relacja minimum absolutnego do przeciętnej). Jego zastosowanie wiązałoby się z polityką kształtowania rozkładu dochodów ludności.

W zakończeniu podkreślić trzeba, że w problematyce dotyczącej poziomu życia przybyła nam pozycja bardzo interesująca, dająca obszerny przegląd literatury zagranicznej. Dodatkowym atutem książki jest przystępność wykładu, co w połączeniu z zamieszczonymi w aneksach wyjaśnieniami zasad: obliczania dochodu narodowego, budowy rachunków społecznych i obliczania wskaźników nierównościowości rozkładu sprawia, że książka dostępna jest także dla czytelników o wykształceniu nieekonomicznym a interesujących się tą problematyką.

⁵⁾ Leszek Zielenkowski: „Poziom życia — metody mierzenia i oceny”. PWE, Warszawa 1979, stron 224.

recenzje – omówienia

POZIOM ŻYCIA

MICHAŁ ZIELIŃSKI

KSIĄŻKA Leszka Zielenkowskiego, „Poziom życia — metody mierzenia i oceny” dotyczy ważkiej i budzącej duże zainteresowanie społeczne, problematyki. Wyda się, że badania z zakresu tej problematyki przeszły w ostatnich kilkunastu latach przez trzy fazy rozwojowe. W pierwszej, trwającej do końca lat sześćdziesiątych dominowało wartościowe podejście do mierzenia poziomu życiowego. Okres drugi wiąże się z prowadzonymi przez Instytut Gospodarstwa Społecznego badaniami nad poziomem życia ludności w Polsce opartymi na tzw. „metodzie geneuskiej”. To nowe podejście do zagadnienia pomiaru poziomu życia, bazujące na agregacji częściowych wskaźników wyrażonych w jednostkach naturalnych, zapoczątkowało ożywioną dyskusję. Toczyła się ona w latach 1970–1972, między innymi no łamach „Wiadomości Statystycznych”. Jednym z efektów tej dyskusji był wzrost zainteresowania szeroko rozumianą problematyką poziomu życiowego i znaczne rozszerzenie zakresu prac badawczych. Stwarza to zapotrzebowanie na próby teoretycznych podsumowań dotychczasowego dorobku. Próba taką, dodajmy udaną, jest praca prof. Zielenkowskiego.

Punktem wyjścia rozważań autora jest stwierdzenie, że obecna faza rozwoju gospodarczego charakteryzuje się powstaniem rozbieżności między wzrostem produkcji i zwiększeniem dobrobytu. Mimo istnienia dodatniej korelacji między dochodem narodowym i dobrobytem, kategoria dochodu narodowego i pochodne mają zbyt wąski zakres, aby obejmować wszystkie elementy systemu zaspokajania potrzeb. Teza ta dowodzona jest poprzez prezentację dziedzin nie obje-

tych obliczeniami dochodu narodowego: usług niematerialnych, działalności produkcyjnych gospodarstw domowych oraz majątku konsumpcyjnego, czasu wolnego i strat wynikających z zanieczyszczenia środowiska. Stwierdzenie, że dochód narodowy nie charakteryzuje poziomu życiowego, otwiera problem, czy należy dokonać istotnych zmian w założeniach budowy bilansu gospodarki narodowej. L. Zielenkowski wypowiada w tej kwestii pogląd negatywny. Uznając za pożądaną pewną rozbudowę i ulepszenie systemu rachunku, stwierdza, że „Wprowadzenie do istniejącego bilansu gospodarki narodowej nowych rozwiązań, pozwalających na lepszą charakterystykę dobrobytu, pozabawiloby ten bilans jego obecnego zalet... Dlatego też zamiast wprowadzenia poprawek do istniejącego systemu bardziej wskazane wydaje się podjęcie próby opracowania i wprowadzenia w życie odrębnego systemu informacji, charakteryzującego poziom i zmiany w poziomie dobrobytu.”

Rozdział drugi omawianej pracy poświęcony jest problematyce metod pomiaru poziomu życia. Autor omawia tutaj zalety i wady miernika ekonomicznego dobrobytu (wskaźnika wartościowego obliczanego jako skorygowana wielkość dochodu pieniężnego) i syntetycznego wskaźnika poziomu życia, obliczanego metodą geneuską. Pewnym nowum w literaturze polskiej jest omawiana dalej kwestia mierników subiektywnych, związanych z pomiarem tzw. dobrobytu „psychicznego”. Wyssuwane są tutaj dwie tezy, że „... badań poziomu życia nie można ograniczać wyłącznie do badań tzw. dobrobytu ekonomicznego...”, gdyż wpływa nań również tzw. dobrobyt

psychiczny.” oraz, że „... względny charakter pojęcia dobrobytu psychicznego sprawia, że interpretacja tych mierników musi być inna niż mierników opartych na wielkościach ekonomicznych.” Obydwa typy mierników nie są substytutami, nie można ich także sumować. Zdaniem autora dopiero ich zestawienie i porównanie może być podstawą formułowania konkretnych zadań polityki społecznej.

Jeżeli na podstawie omówionej części pracy można sformułować zasadniczy pogląd autora na temat pomiaru poziomu życiowego, to — choć nie jest stwierdzone to *expressis verbis* — uważa on, że nie jest niemożliwa konstrukcja uniwersalnego, syntetycznego miernika. Zwiększa dla planowania społecznego (a jest to chyba najważniejsze zastosowanie tych wskaźników) widzi on konieczność tworzenia zbioru informacji zdezagregowanych na podstawowe dziedziny zaspokajania potrzeb. Ten „pluralistyczny” sposób podejścia do analizy poziomu życiowego staje się chyba dominujący. Zawarta w książce argumentacja zapewne przyczyni mu dalszych zwolenników.

Ostatnią kwestią podejmowaną w pracy jest zagadnienie nierówności ekonomicznych i ich wpływu na dobrobyt społeczny. Problem ten próbowano w ekonomii burżuazyjnej rozwiązać według subiektywnej teorii wartości. Argumentacja o wpływie egalitaryzmu na wzrost dobrobytu oparta na teorii malejącej użyteczności krańcowej nie wydaje się jednak przekonująca. Stąd dobrze, że problem ten coraz częściej analizowany jest przez ekonomię marksistowską. Autor rozważa tutaj wady i zalety współczynnika nierówności rozkładu pod kątem moż-

KRYTERIA efektywności wykorzystania zasobów wytwórczych zależne są w sposób bezpośredni od charakteru celów, jakie realizowane są w procesie gospodarowania. Charakter celu gospodarowania w warunkach ekonomii socjalistycznej — optymalne zaspokojenie potrzeb społecznych — wskazuje na to, że cel ten musi być wyrażony przede wszystkim w kryterium efektywności wykorzystania zasobów w skali makroekonomicznej, w kryterium, którym winien posługiwać się centralny organ gospodarcy dla podejmowania decyzji makroekonomicznych. Dopiero w oparciu o tak określone kryterium można ustalać kryteria efektywności dla innych podmiotów gospodarowania, tworząc wewnętrznie zgodny system ocen w całej gospodarce narodowej.

Kryteria efektywności gospodarowania w makroskali

W jaki sposób można określić owo kryterium efektywności w skali makroekonomicznej? Ażeby odpowiedzieć na tak sformułowane pytanie, należy ściślej określić pojęcie „potrzeby społeczne”. Na potrzeby społeczne składają się oczywiście potrzeby indywidualne, zaspokajane poprzez konsumpcję dóbr bądź usług, których wytwarzanie angażuje zasoby wytwórcze znajdujące się w danym społeczeństwie. Dobra te i usługi są również w socjalizmie w wielkości swej nabywane przez ludność za posiadane dochody. Z punktu widzenia określenia makroekonomicznego kryterium efektywności gospodarowania jest to sytuacja pomyślna. Oznacza to bowiem, że dobra i usługi zaspokajające potrzeby indywidualne, a więc tym samym także potrzeby społeczne, posiadają ceny, co umożliwia agregowanie tych wszystkich dóbr oraz usług i wyrażenie stopnia realizacji ogólnego celu gospodarowania w wielkości dochodu narodowego.

Wielkość dochodu narodowego może więc być kryterium efektywności wykorzystania zasobów wytwórczych z punktu widzenia stopnia zaspokojenia potrzeb społecznych. Tak zresztą wielkość ta jest na ogół traktowana przez teorię ekonomii socjalizmu, choć należy zarazem stwierdzić, iż teoria ta wskazuje również na niedostatki w ten sposób określonego kryterium efektywności gospodarowania. Jakże to są niedostatki?

Przed wszystkim, jak wiadomo, nie cały dochód narodowy jest przeznaczony na bezpośrednie zaspokojenie potrzeb konsumpcyjnych ludności. W zależności od struktury podziału wytworzonego dochodu narodowego na spożycie i akumulację, różnie będą kształtować się możliwości zaspokojenia potrzeb konsumpcyjnych społeczeństwa w krótszych i dłuższych okresach. Jest to problem o dużej doniosłości, nie będziemy go jednak rozpatrywać w tym miejscu.

Zakładamy więc, że mamy do czynienia z danym podziałem dochodu narodowego na część spożywaną i akumulowaną, w związku z czym zmiany w wielkości konsumowanej części dochodu narodowego są funkcją zmian następujących jedynie w wielkości wytworzonego dochodu. W tym miejscu interesować nas więc będą głównie nie decyzje dotyczące podziału dochodu na część konsumo-

KRYTERIA EFEKTYWNOŚCI

JĘDRZEJ LEWANDOWSKI

waną i akumulowaną, lecz decyzje dotyczące alokacji zasobów wytwórczych w gospodarce oraz przydatność kategorii dochodu narodowego do określenia efektywności wykorzystania zasobów przy podejmowaniu tego typu decyzji.

Chodzi zwłaszcza o odpowiedź na pytanie: czy wartościowe wyrażenie poszczególnych dóbr i usług w dochodzie narodowym odpowiada również ich roli i miejscu w strukturze zaspokajanych potrzeb społecznych? Aby odpowiedzieć na to pytanie, zajmijmy się najpierw sposobem podejmowania decyzji alokacyjnych w gospodarce socjalistycznej.

Zasada wyrównywania rentowności produkcji

Przyjęcie wielkości dochodu narodowego jako kryterium efektywności gospodarowania w socjalizmie daje dość prostą wskazówkę dla podejmowania decyzji alokacyjnych. Nakłady zasobów należy zwiększać przede wszystkim tam, gdzie poziom rentowności, określany istniejącym układem cen i kosztów, kształtuje się najkorzystniej. Taki tryb postępowania spowoduje określone zmiany w strukturze produkcji i odpowiadające im zmiany w relacjach cen na korzyść artykułów charakteryzujących się niższym poziomem rentowności. W ten sposób relacje cen zmierzają do zrównania się z relacjami nakładów, a poziom rentowności w poszczególnych gałęziach wytwórczości powinien ulegać wyrównaniu. Należy stwierdzić, iż tego typu postępowanie sprzyja optymalizacji struktury produkcji rozpatrywanej z punktu widzenia stopnia zaspokojenia potrzeb społecznych. W literaturze ekonomicznej można znaleźć wiele przekonywujących dowodów na to, że struktura produkcji, przy której relacje cen są zgodne z relacjami nakładów, pozwala uzyskiwać określony efekt w dziedzinie zaspokojenia potrzeb ludności przy najmniejszych nakładach zasobów produkcyjnych.¹⁾ W związku z tym można stwierdzić, że podejmowane w socjalizmie decyzje alokacyjne powinny być zgodne z zasadą wyrównywania rentowności produkcji, realizowaną poprzez dążenie do zrównywania relacji cen z relacjami nakładów, rozumianymi jako społeczne koszty produkcji poszczególnych artykułów.

Czy jednakże znalezienie zasady wyrównywania rentowności produkcji dla podejmowania decyzji alokacyjnych oznacza, że w każdym przypadku wyrównanie rentowności stanowi warunek optymalizacji struktury produkcji rozpatrywanej z punktu widzenia stopnia zaspokojenia potrzeb społecznych? Na pytanie to należałoby odpowiedzieć pozytywnie, gdyby potrzeby społeczne, których

zaspokojenie mają optymalizować decyzje alokacyjne, były prostą sumą potrzeb indywidualnych. Potrzeby społeczne nie stanowią jednak, jak wiadomo, prostej sumy potrzeb indywidualnych. Na pewnych bowiem odcinkach może nie być zgodności między preferencjami indywidualnymi i preferencjami ogólnospołecznymi, kolektywnymi.

Podstawą tych rozbieżności może być niezgodność opinii publicznej co do użyteczności społecznej pewnych dóbr, z postępowaniem niektórych grup konsumentów albo, co ma w tej dziedzinie szczególne znaczenie, niezgodność w poglądach co do kolejności zaspokajania potrzeb przez poszczególne grupy dóbr i usług. Tak na przykład z punktu widzenia opinii społecznej celowe może być lepsze zaspokajanie potrzeb w dziedzinie oświaty i kultury bądź w dziedzinie utrzymania równowagi między człowiekiem i jego środowiskiem, przy niepełnym jeszcze zaspokojeniu potrzeb na innych odcinkach, mimo że postępowanie konsumentów mogłoby być odmienne.

W przypadku występowania tak rozumianych rozbieżności między preferencjami indywidualnymi i preferencjami ogólnospołecznymi, zakres realizacji zasady wyrównywania rentowności produkcji może być ograniczony i na niektórych odcinkach gospodarki mogą być utrzymywane stosunkowo trwałe zróżnicowane poziomy rentowności wytwarzania określonych dóbr i usług.

Uwagi o prawie wartości w gospodarce socjalistycznej

W tym miejscu konieczne jest ustosunkowanie się do niektórych tez charakteryzujących rolę prawa wartości w określaniu procesów alokacyjnych w socjalizmie. Chodzi zwłaszcza o to, iż wyrównywanie rentowności produkcji traktowane jest często jako wymóg prawa wartości, natomiast istniejące ograniczenia w realizacji tej zasady traktuje się jako rezultat ograniczenia zakresu działania prawa wartości. Na tej podstawie sformułowane są od wielu już lat znane opinie o roli prawa wartości w planowaniu produkcji i podejmowaniu decyzji alokacyjnych w gospodarce socjalistycznej. Przykładem dość skrajnego stanowiska w tej dziedzinie może być stwierdzenie Strumilina, iż „Celem planu jest nie zlikwidowanie lub zastąpienie prawa wartości, lecz celowe zapewnienie jego działania w nowych warunkach, w interesie socjalizmu, a tym samym jeszcze większe podniesienie znaczenia tego ważnego dla nas prawa ekonomicznego”.²⁾

Konieczność wyrównywania rentowności produkcji nie wynika jed-

nak, jak się wydaje, z działania prawa wartości, a konieczność ograniczeń w realizacji tej zasady z ograniczenia zakresu działania prawa wartości. Gospodarka towarowa, jak wskazuje na to zarówno współczesna gospodarka kapitalistyczna, jak i gospodarka socjalistyczna, może istnieć i rozwijać się przy trwałe zróżnicowanych stopach rentowności w poszczególnych gałęziach wytwórczości. Działanie prawa wartości nie może więc oznaczać, iż konieczne jest zrównywanie relacji cen z relacjami nakładów na poszczególnych odcinkach gospodarki narodowej. Oznacza ono jedynie to, że podstawą cen, po których towary są sprzedawane na rynku jest ich wartość, a naruszenie zasady ekwiwalentności wymiany powoduje określone procesy redystrybucji nowo wytworzonej wartości. Procesy te polegają na tym, że ci, którzy sprzedają towary powyżej wartości lub kupują poniżej wartości, zyskują kosztem tych, którzy sprzedają poniżej wartości, a kupują powyżej wartości.

W związku z tym równość cen i wartości towarów występuje w skali całej gospodarki narodowej, gdyż suma cen musi się równać sumie wartości, natomiast równość ta nie musi występować w przypadku relacji cenowo-wartościowych kształtujących się między poszczególnymi towarami. Można więc chyba stwierdzić, iż działanie prawa wartości przejawia się nie tyle w sferze kształtowania proporcji międzygałęziowych i decyzji alokacyjnych, ile w sferze redystrybucji nowo wytworzonych wartości. Sposób bowiem reagowania podmiotów gospodarujących na sygnały płynące z rynku zależy nie od tego czy działa i jak działa prawo wartości, lecz od charakteru celów właściwych danemu systemowi produkcji oraz od metod, przy pomocy których cele te są realizowane. Konieczność stosowania zasady wyrównywania rentowności produkcji wynika więc nie z wymogów prawa wartości, lecz z tego, że jest ono niezbędnym warunkiem optymalizacji struktury produkcji, dokonywanej z punktu widzenia zaspokajania potrzeb społecznych, optymalizacji oczywiście jedynie na tych odcinkach gospodarki, gdzie nie występują różnice między preferencjami indywidualnymi i preferencjami ogólnospołecznymi.

Spór o prawo wartości w socjalizmie ma długą historię. Dyskusje wokół roli tego prawa w gospodarce narodowej wiazały się często z rozstrzygnięciem spraw o dużej doniosłości, nie tylko gospodarczej, lecz również społecznej i politycznej. Spowodowało to znaczne zagmatwanie tego ważnego fragmentu ekonomii politycznej socjalizmu. Może wskutek tego zagmatwania daje się zau-

ważyć zmniejszenie zainteresowania tą właśnie problematyką.

Zwracają na to uwagę, choć może nie w sposób bezpośredni, autorzy podręcznika ekonomii politycznej socjalizmu pod red. M. Nasilowskiego, stwierdzając w końcowym fragmencie paragrafu, omawiającego ewoluację poglądów na temat działania prawa wartości w socjalizmie: „Ogólna dyskusja nad działaniem prawa wartości nie została zakończona i choć wiele w ostatnich czasach zdołano wyjaśnić, nadal problem ten wywołuje liczne kontrowersje. Teoretyczny spór nad sposobem i zakresem jego wykorzystania w socjalizmie przesunął się w ostatnich latach coraz wyraźniej na pragmatyczne zagadnienia (podkreślenie — J.L.) dotyczące zasad kształtowania cen i sposobu powiązania układu cen dla odbiorców (konsumentów) z układem cen dla dostawców (producentów), przy określonym systemie bodźców materialnego zainteresowania.”³⁾

To zmniejszenie zainteresowania problematyką prawa wartości sensu stricto należy ocenić negatywnie. Konsekwencje działania prawa wartości w dziedzinie redystrybucji dochodu narodowego są niezwykle ważne, trzeba więc je znać i z nimi się liczyć przy podejmowaniu decyzji ekonomicznych. Dotyczy to również podejmowania decyzji alokacyjnych. Chodzi tu szczególnie o to, iż ograniczenia zakresu realizacji zasady wyrównywania rentowności produkcji przy podejmowaniu decyzji alokacyjnych mają ważne konsekwencje w dziedzinie podziału dochodu narodowego. W tym bowiem przypadku wytwarzanie dóbr i usług, charakteryzujące się niskim poziomem rentowności procesu produkcji, musi być dotowane przez budżet państwa, a środki służące temu celowi pochodzą z wartości przejmowanej z gałęzi charakteryzujących się wysokim poziomem rentowności.

Zakres redystrybucji nowo wytworzonej wartości poprzez odchylenie cen od nakładów jest w socjalizmie szczególnie szeroki. Ze względu na konsekwencje społeczne tych procesów wymagają one gruntownej analizy od strony ich społecznej celowości. Z tej chociażby racji problematyka prawa wartości w podanym wyżej ujęciu zasługuje na baczną uwagę ze strony ludzi zajmujących się teorią ekonomii politycznej socjalizmu.

Co ogranicza stosowanie zasady wyrównywania rentowności?

Wracając do problematyki dotyczącej sposobów podejmowania decyzji alokacyjnych należy stwierdzić, iż brana jest tutaj pod uwagę nie tylko celowość wyrównywania stopy rentowności produkcji, lecz również nadrzędność interesów ogólnospołecznych nad interesami indywidualnymi, wówczas gdy występuje rozbieżność między tymi dwoma grupami interesów. Na pytanie, w jakim za-

kresie należy stosować zasadę wyrównywania rentowności produkcji, a w jakim należałoby od niej odstąpić, teoria ekonomii nie daje jak dotychczas jednoznacznej odpowiedzi, choć zdaje sobie sprawę z doniosłości społecznej podejmowanych w tej sprawie rozwiązań. Można w tej kwestii jedynie stwierdzić, iż przyjmowane rozwiązania nie powinny mieć arbitralnego charakteru, to znaczy, że społeczność, której rozwiązania te dotyczą, powinna być o nich poinformowana i powinna je akceptować.

Stosunkowo trwałe zróżnicowanie rentowności produkcji może być przy tym nie tylko zamierzonym rezultatem decyzji alokacyjnych biorących pod uwagę nadrzędność preferencji społecznych w przypadku, gdy są one rozbieżne z preferencjami indywidualnymi. Zróżnicowania te mogą być również rezultatem trudności, na jakie może natknąć się polityka prowadząca do ich likwidacji lub przynajmniej złagodzenia. Należy stwierdzić, iż możliwości wyrównywania stopy rentowności w gospodarce socjalistycznej poprzez ruch cen, wywołany odpowiednim przegrupowaniem zasobów wytwórczych między poszczególnymi gałęziami produkcji, są niezwykle ograniczone. Ponieważ podniesienie cen, zwłaszcza niektórych grup towarów konsumpcyjnych, napotyka na znaczne trudności ze względu na efekty dochodowe tego typu zabiegów, relacje cen w gospodarce socjalistycznej charakteryzują się dużą stabilnością.

W tej sytuacji wyrównywanie rentowności pomiędzy poszczególnymi gałęziami produkcji, w przypadku istniejących rozpiętości między relacjami cen i relacjami nakładów, może dokonać się nie poprzez określone zmiany cen wywołane przegrupowaniem zasobów, lecz poprzez szczególne forsowanie postępu technicznego, prowadzącego do obniżki kosztów produkcji tam, gdzie rentowność procesu wytwarzania jest niska. Nie zawsze jednak podejmowane wysiłki w tej dziedzinie przynoszą szybkie i odpowiednio liczące się efekty. Wówczas zróżnicowanie rentowności i związane z nimi procesy dotowania niektórych rodzajów wytwórczości mogą nabierać stosunkowo trwałego charakteru, stwarzając zresztą polityce ekonomicznej wiele kłopotliwych problemów do rozwiązania. Bardzo charakterystycznym przykładem tego typu sytuacji są warunki kształtujące się na rynku produktów żywnościowych, gdzie próby zapewnienia właściwszych relacji między cenami i ponoszonymi na produkcję nakładami napotykają na znaczne trudności, nie tylko zresztą ekonomicznej natury.

(cd.)

1) Por. m. in. M. Kalecki. Zagadnienia struktury spożycia. „Gospodarka Planowa” nr 7/1963

2) S. Strumilin. Prawo wartości i planowanie. „Zeszyty Teoretyczno-Polityczne” nr 11/1959, s. 85

3) Ekonomia polityczna socjalizmu pod kier. naukowym M. Nasilowskiego, Warszawa 1974, s. 314, 315

TECHNIKA A EFEKTYWNOŚĆ

POPRAWNY RACHUNEK

KRYSTYNA DALKE, EWA MAŁECKA

JEDNYM z podstawowych narzędzi służących aktywizacji działalności innowacyjnej, są metody oceny ekonomicznej efektywności przedsięwzięć z postępu technicznego. Posługiwanie się złyimi metodami prowadzi do wyboru niewłaściwych rozwiązań, a tym samym do start w skali ogólnospołecznej. Materiał empiryczny, na który się powołujemy, pochodzi z wybranych przedsiębiorstw z dwu różnych branż (hutniczej i przemysłu lekkiego). Dobór różnych branż był podyktowany chęcią wyeliminowania wpływu specyfiki branżowej na działalność innowacyjną. Badaniem objęte zostały najważniejsze (według opinii kierownictwa przedsiębiorstw) przedsięwzięcia z postępu technicznego w ostatnich latach. Badanie polegało na analizie przepisów prawnych, resortowych i branżowych, materiałów statystycznych oraz opinii pracowników bezpośrednio związanych z interesującymi nas innowacjami.

Zgodnie z obowiązującymi w Polsce aktami prawnymi normującymi to zagadnienie stosowane są generalnie dwie metody oceny efektywności innowacji:¹⁾

1. metoda efektywności bezwzględnej — stosowana jako podstawa określania materialnych korzyści dla uczestników procesów innowacyjnych;

2. metoda efektywności bezwzględnej i względnej, stanowiąca narzędzie wyboru najbardziej opłacalnych przedsięwzięć innowacyjnych.

W związku z tym nasuwa się pytanie, w jakim zakresie i w jaki sposób wykorzystywane są te metody w podejmowaniu decyzji innowacyjnych?

Na podstawie przeprowadzonych badań empirycznych stwierdzono, iż w przypadku poddanych badaniu innowacji posługiwało się jedynie rachunkiem efektywności bezwzględnej, której głównym celem było ustalenie wielkości nagród dla uczestników procesu innowacyjnego. Podstawowa formuła rachunku (pomijając w tym miejscu różnice w ujęciu poszczególnych jej składników, będących wynikiem odmiennych technicznych cech procesu produkcyjnego), sprowadza się do wyliczenia wskaźnika zysku osiągniętego dzięki produkcyjnemu zastosowaniu innowacji: $C - K = Z$, gdzie:

C — wartość sprzedanych wyrobów będących rezultatem innowacji
K — koszty związane z wytworzeniem tych wyrobów
Z — zysk z przedsięwzięcia innowacyjnego

Formuła ta ma zastosowanie w przypadku, gdy rezultatem innowacji jest nowy produkt dotychczas nie wytwarzany w kraju, jeśli nie jest on substytutem. W przypadku substytutów bądź nowych lub zmodyfikowanych technologii przekształca się ta formuła w rachunek przyrostu zysku (różnica pomiędzy zyskiem osiągniętym z produkcji nowych wyrobów a zyskiem osiągniętym z produkcji wyrobów podobnych lub przed modernizacją). Różnicę tę stanowi zysk dodatkowy wynikający ze zmiany (podwyższenia) ceny realizacji wyrobu przy uwzględnieniu rzeczywistych kosztów wytwarzania bądź wynikających z faktycznej obniżki kosztów własnych — w warunkach porównywalnych przed i po modernizacji.

Podstawową zaletą przedstawionego rachunku efektywności innowacji jest dostosowanie formuły oraz elementów składowych rachunku do obowiązujących kryteriów oceny działalności przedsiębiorstw przemysłowych, a szczególnie miernika stanowiącego podstawę tworzenia bodźców materialnego zainteresowania dla kierownictwa tych jednostek. Prawidłowość wyników rachunku przeprowadzonego według tej formuły budzi jednak bardzo wiele zastrzeżeń:

Po pierwsze: Formuła rachunku nie relacjonując osiągniętych efektów do nakładów poniesionych w związku z wdrożeniem danego rozwiązania technicznego nie uwzględnia istniejących w gospodarce warunków bilansowych i nie może dać odpowiedzi, czy ta właśnie innowacja jest opłacalna dla gospodarki narodowej. Na marginesie należy zaznaczyć, iż w analizowanych przypadkach rachunku wariantowego, mimo formalnych w tym względzie założeń, nie prowadzono.

Po drugie: Brak precyzyjnego sformułowania kryteriów określających wymagania, jakie powinien spełniać wyrób nowy, pozwala na stosunkowo dużą dowolność w kwalifikacji rezultatów innowacji i stwarza realne niebezpieczeństwo sztucznych zawyżania stopnia nowości bądź oryginalności rozwiązań technicznych w celu osiągnięcia większych korzyści. W podobny, mało precyzyjny sposób w rachunku efektywności innowacji traktuje się koszty prac badawczo-rozwojowych jako składnika faktycznych kosztów danego przedsięwzięcia innowacyjnego. W rezultacie w przebadanych przypadkach w rachunku efektywności uwzględniono jedynie koszt

nadzoru autorskiego ze strony jednostek badawczych uczestniczących w procesie wdrażania innowacji do produkcji. Stanowił on nie więcej niż 0,2 proc. całości kosztów przedsięwzięcia innowacyjnego. Poza sferą rachunku pozostały nakłady poniesione w resortowych bądź branżowych placówkach badawczych w związku z opracowaniem danego rozwiązania technicznego, nie mówiąc już o kosztach powstałych w sferze badań podstawowych.

Po trzecie: Stosowany w rachunku sposób wyceny poszczególnych jego składników nie jest jednolity. W przypadku innowacji polegających na doskonaleniu bądź wprowadzeniu nowej technologii wytwarzania, do ustalenia wielkości efektów ekonomicznych przyjmuje się istniejące ceny wyrobów, natomiast w przypadku innowacji produktowych przyjmuje się ceny nowości (ceny wyjściowe skorygowane o wskaźnik nowości wyrobu) bądź ceny „światowe”. Nie zatrzymując się nad oceną prawidłowości ustalania zarówno cen nowości, jak i cen relacjonowanych do cen światowych (zagadnienie to doczekało się wielu poważnych opracowań w literaturze ekonomicznej), warto nadmienić, iż sposoby ich ustalania są różne i różny jest też efekt innowacji w zależności od rodzaju przyjętych w rachunku cen. W ten sposób jednak obiektywizm rachunku efektywności jest iluzoryczny, a jego wynik nie daje obrazu rzeczywistej opłacalności innowacji dla gospodarki narodowej.

Pogłębia się natomiast wspomnianą już wyżej tendencja jednostek gospodarczych do nadmiernego ekspozowania stopnia „nowości” rozwiązań technicznych, dla uzyskania

możliwości zastosowania w rachunku korzystniejszych cen, a tym samym osiągnięcia wyższych efektów ekonomicznych. Jest to szczególnie ważne w świetle posługiwania się tą formułą wyliczania efektów w celu określenia wielkości korzyści materialnych, zarówno dla pracowników przedsiębiorstw produkcyjnych, jak i placówek badawczych, należnych z tytułu działalności innowacyjnej.²⁾ Wspierane materialnym zainteresowaniem decyzje innowacyjne podejmowane na podstawie wyniku omawianego rachunku ekonomicznego nie muszą prowadzić do wyboru opłacalnych, z ogólnogospodarczego punktu widzenia, innowacji.

W literaturze ekonomicznej podkreśla się wyraźnie konieczność przeprowadzenia wielokrotnej oceny efektywności ekonomicznej. Szczególnie istotne znaczenie ma rachunek efektywności innowacji w momencie podejmowania prac badawczych (ze względu na dużą liczbę szacunkowych ocen zarówno nakładów, jak i efektów, jak też uproszczone formuły rachunku), przed podjęciem decyzji o produkcyjnym zastosowaniu rozwiązania technicznego oraz po wdrożeniu innowacji.

W praktyce wyliczenia efektów innowacji dokonuje się jednorazowo, w pierwszym etapie wdrożenia. Sprzyjała temu rozwiązaniu systemu motywacyjnego funkcjonującego w odniesieniu do działalności innowacyjnej.³⁾ Brak więc ocen weryfikujących efektywność innowacji, a tym samym prawidłowości podejmowanych decyzji innowacyjnych.

Zainteresowanie ze strony jednostek gospodarczych stosowaniem rachunku ekonomicznego, który prawidłowo odzwierciedlałby rzeczyw-

stą opłacalność przedsięwzięć innowacyjnych jest zagadnieniem o wiele szerszym, którego rozwiązanie tkwi nie tylko w samych metodach oceny efektywności, ale także, a może nawet przede wszystkim, w pozostałych, leżących poza rachunkiem ekonomicznym elementach systemu ekonomicznego. Stworzenie takiego systemu funkcjonowania gospodarki, który zapewniłaby konieczność racjonalnego działania podmiotów gospodarczych na każdym odcinku ich działalności, w tym także i na odcinku działalności innowacyjnej, pozwoliłoby rozwiązać problem rachunku ekonomicznego w sferze innowacyjnej.

System ten powinien, w odniesieniu do innowacji, stworzyć podmiotom gospodarczym możliwość prowadzenia efektywnej działalności innowacyjnej (odpowiednio duża podaż innowacji, wystarczający zasób środków i umiejętności do realizacji innowacji, swoboda podejmowania decyzji innowacyjnych) oraz konieczność relizowania postępu technicznego, która to konieczność miała by charakter przymusu ekonomicznego, a nie administracyjnego.

Brak dobrych rozwiązań w zakresie systemu funkcjonowania gospodarki nie zwalnia oczywiście z konieczności poprawy istniejących metod oceny efektywności ekonomicznych innowacji tak, aby pozwalały one charakteryzować bez zbędnych uproszczeń, rzeczywiste nakłady i efekty przedsięwzięć innowacyjnych oraz zapewniały zgodność wyboru z ogólnogospodarczym kryterium efektywności.

1) Zob. „Ocena ekonomicznej efektywności inwestycji i innych zamierzonych rozwojowych”. Zbiór przepisów, Warszawa 1975 r.

2) Znaczenie metody bezwzględnej efektywności innowacji jako podstawy naliczania nagród rośnie wraz z rozszerzeniem stosowania funduszu efektów wdrożeniowych jako wyspecjalizowanego instrumentu kierowania działalnością innowacyjną.

3) Zob. zarządzenie ministra nauki i szkolnictwa wyższego i techniki z dnia 12.IX.1974 r. w sprawie nagród z funduszu efektów wdrożeń i funduszu nagród wdrożeń i funduszu nagród wdrożeń i funduszu nagród wdrożeń (M. P. nr 31 z 1974 r., poz. 189).

HANDEL SAM O SOBIE

ŻANETTA REGEL

Korespondencja własna z NRD

NIEDAWNO, ktoś ze znajomych streszczając swoje wrażenia przed odjazdem z Berlina powiedział: zabrałbym do kraju dwie rzeczy — tutejsze kaufhalle i pływali.

Pływali jest tu po prostu tak dużo, że każdy ma szansę zostać olimpijczykiem w krytej żabce, a kaufhalle — jako osiedlowe sklepy z artykułami pierwszej potrzeby — rzeczywiście dobrze spełniają swoje zadanie. Sprzedaje się w nich wszystko: mydło i powidło, bułki i guziki, szampa i dziecięce ubranka, kosmetyki, a w sezonie także na meble kempingowe i plażowe parasole. Wszystko się tam znajduje, wraz z zakupami na pierwsze śniadanie, od godziny 7 rano porannym.

Czy wygoda jaką stwarzają tak pomyślane osiedlowe „samoty” ostatnio przesadza o zadowalającym stanie wewnętrznego rynku naszych sąsiadów? Oczywiście nie. Punkt ciężkości kłopotów z jakimi boryka się handel w NRD przesunął się na rynek artykułów tzw. trwałego użytku. Generalnie więc, podobnie jak i u nas, narzeka się na niedopasowanie masy towarowej do potrzeb. Z tym, że w NRD daje się to szczególnie odczuć nie tyle w meblach czy butach, ile w artykułach gospodarstwa domowego, odzieży, w tym także w grupie ubiorów dla osób o tak zwanych skrajnych rozmiarach, we wszelkiego rodzaju artykułach ze szkła i porcelany.

Bolączką energoobrotowego rynku jest także powolny rozwój usług. Mało jest punktów usługowych, niepełny ich asortyment. Na przykład „pogotowie telewizyjne”, tak niezbędne niekiedy, jak choćby w czasie olimpiady, nie jest tu znane, a na reperację odbiornika trzeba czekać zwykle kilka tygodni. To samo dotyczy wszelkich innych napraw, np. maszyn do szycia butów. Największy szwelski punkt usługowy mieszczący się na synnym „Alexie” w Berlinie obsługujący jest codziennie przez tłumy klientów. O naprawie buta na poczekaniu, gdy się nie chce czekać, nie ma tu możliwości. Prościej kupić, wcale nie taniej, nową parę. Najbardziej funkcjonalną pralnię, choć super-expressu, czyli usługi z dnia na dzień, nie praktykuje się.

100 propozycji

Co myśli się i robi dla poprawy tej sytuacji? Przede wszystkim szuka się rezerw. Rezerwy mają przysłużyć, albowiem inwestycje już były, a ręk do pracy, których bardzo handlowi i usługowi brakuje, na razie nie będzie więcej. Trzeba więc znajdować rozwiązania uwzględniające te parametry.

Szukając rezerw odwołano się do doświadczeń długoletnich pracowników handlu. Ich uwagi i spostrzeżenia dotyczące sposobów naprawy sytuacji ujęto w katalog „100 propozycji”. Realizacja tych pomysłów — jak zapewnił swym autorytetem minister handlu wewnętrznego i zaopatrzenia A. Brikas — powinna przynieść widoczną poprawę.

W jakim kierunku zmierzają propozycje ludzi handlu? Przede wszystkim modernizacji starych, małych sklepów, które wyraźnie podupadły. W latach siedemdziesiątych inwestowano w wielkim rozmachem w nowe placówki handlowe, nikt nie martwił się o stare sklepy. Wydawało się wtedy, że ogrom nowej i nowoczesnej urzędzonej powierzchni sprzedaży zastąpi wszelkie kramy i kramiki. Nowe pawilony okazały się jednak niewystarczające, a tymczasem warunki w starych lokalach coraz mniej zalecały ludzi do podejmowania w nich pracy.

Małe sklepy przeżywają już swój renesans w Halle. Nadburmistrz te-

go miasta — Joachim Schreder — zapytany o największe swoje osiągnięcie w pracy zawodowej, wspominał właśnie modernizację starego bulwaru handlowego. Osiedlowe kaufhalle są wprawdzie dobrym wynalazkiem naszych czasów i robią jedną czwartą wszystkich obrotów na rynku — powiedział nadburmistrz — ale nie zaspokajają bez zastrzeżeń, podstawowych potrzeb mieszkańców osiedla. Niezbędnym uzupełnieniem osiedlowych „samot”, jak potwierdzają to także doświadczenia w Halle, są drobne sklepy.

Odpowiedzią na problem niedostatecznego dopasowania masy towarowej do potrzeb jest też, wspomnianą często w katalogu „100 propozycji”, idea zwiększenia liczby agencji punktów sprzedaży i usług. (Agencyjny system harmonizuje w tym miejscu z potrzebą modernizacji małych i starych lokali). Problem niedopasowania masy towarowej do potrzeb polega bowiem, zdaniem energoobrotowych handlowców, nie tyle na niedostatecznej produkcji, co wadach dystrybucji. A najbardziej obrotne, sprawne potrafią być — jak wykazuje dotychczasowa praktyka — nie te największe, lecz małe, agencyjne punkty handlowe. Robią one obecnie ponad 7 proc. obrotów na wewnętrznym rynku, ale plan przewiduje dalszy i znaczny wzrost aktywności agencyjnego handlu.

Gdzie małe — gdzie duże

Inną grupę tematów zawartą w katalogu „100 propozycji” stanowi lokalizacja placówek handlowych i usługowych. Otóż zdaniem doświadczonych pracowników handlu, osiedlowe centra handlowo-usługowe nie powinny rozstracać się w sposób nieograniczony. Ich zadanie powinno być bowiem sprowadzać do zaspokajania podstawowych potrzeb. Wielkie centra handlowe mogą być natomiast z powodzeniem rozbudowywane przy ruchliwych arteriach komunikacyjnych łączących ze sobą osiedla. Tam właśnie wielkie pawilony i domy handlowe będą swobodnie żyć własnym życiem nie zawadzając osiedlom. Powinno się w tych „międzydzielach” i „międzyosiedlach” centrach sprzedawać oczywiście artykuły trwałego użytku, jak choćby meble, dywany, sprzęt zmechanizowany itp. Te idee niezakłócania spokoju osiedli wielkim handlem urzędystywności są już w Halle, które tym samym stało się poligonem doświadczalnym wszystkich nowych pomysłów w doskonałości rynku.

Ostatnią grupę tematów szczegółowo omówionych w katalogu „100 propozycji” są usługi towarzyszące handlowi, których brak pogłębia również rozdział między popytem a podażą towarów. Za pierwszy i niezbędny rodzaj usług towarzyszących uznano informację handlową i postanowiono rozwinąć ją na szeroką skalę. Już dziś działa kilka centralnych punktów informacji w Domach Towarowych „Centrum” w Berlinie. Informacja, którą można tam uzyskać, gdzie i jakie towary są do nabycia, dotyczy nie tylko stołecznego miasta, ale całego kraju, bowiem ośrodek centralny skoordynowany jest ze 120 punktami informacji handlowej na terenie republiki.

Katalog „100 propozycji” jako próba usystematyzowania bieżących rynkowych problemów jest dziełem skończonym. Jego uzupełnieniem będą więc gieldy pomysłów usprawniających usługi i handel. Pierwszą taką giełdą odbędzie się w III kwartale tego roku. Przedsiębiorstwa handlowe będą na giełdzie kupować i sprzedawać dobre pomysły, których podstawowa zasada brzmi: w warunkach istniejących możliwości materiałowych i ludzkich handlować lepiej, dokładnie zaspokajać potrzeby rynku.

BOLIWIA

AKCJA I REAKCJA

EUGENIUSZ MOŻEJKO

W czasie, kiedy ze strefy Karaimów wyciągały swoje wiatry, które zagrażały władzy miejscowych dyktatorów, kiedy w Peru wojskowi sami przekazują władzę cywilom, rozszerzając strefę rządów konstytucyjnych na północ kontynentu, w sąsiedniej Boliwii grupa generałów przeprowadziła 17 lipca kolejny zamach stanu.

Zamach stanu w Boliwii nie jest niczym nowym. Od 1825 r., kiedy kraj ten uzyskał niepodległość, doliczono się ich około dwóch setek, a więc średnio więcej niż jeden zamach w roku. Pucz generała Mezy różni się jednak znacznie od zwykłej rewolty „zdemerowanych” wojskowych, którzy wiele razy wdzierali się do pałacu prezydenckiego i często bezkarnie obejmowali władzę, by po jakimś czasie ustąpić miejsca bardziej „zdemerowanym” kolegom. Przede wszystkim został on przeprowadzony wyjątkowo brutalnie; dano nie tylko do przechwycenia władzy, chodzą o fizyczną likwidację opozycji. Celem pierwszego ataku stała się centralna związkowa COB, skupiająca pół miliona robotników, w tym znacznych ze swej bojowości górników z kopalni cyny. Zabity został na miejscu jeden z przywódców związkowych Alberto Vega, sekretarz COB Juan Lechin znalazł się w rękach samowładnych sił bezpieczeństwa i oddał słuch o nim zaginał. Ujęto również sekretarza generalnego partii socjalistycznej Marcelo Quiroga Santa Cruz, by zaraz potem ogłosić, że Quiroga zginął w walce. Znaczący, że został po prostu zamordowany. Prezydent-elekt Herman Siles Zuazo przebywał w ucieczce, a sprawującą dotychczas funkcję prezydenta Lidia Gueiler szukała schronienia w nuncjaturze w La Paz. Zamachowcy zastawili listę śmierci, na której umieszczono nazwiska 400 osób uznanych za rzeczywistych czy potencjalnych przeciwników nowego reżimu. Wiele z nich już nie żyje. Inni przebywają na straszeniu zmienionym w obóz koncentracyjny.

Generał Meza pragnie nie tylko władzy, ma większe ambicje. Zamierza uwolnić Bolivię od „raka marksizmu”, to znaczy zlikwidować całą demokratyczną opozycję; zapowiada, że pozostanie u władzy, dopóki cel ten nie zostanie urzeczywistniony, gdyby to miało trwać „nawet dwadzieścia lat”. Nie ukrywa też, że w tym dziele natchnieniem dla niego jest nie kto inny, tylko generał Pinochet. Na faszystowskie ciałoty samozwańczego prezydenta Bolivi wskazuje też czynne poparcie, jakiego udzielił mu bojówkowi falangi, które pierwsze zaatakowały pałac prezydencki i siedzibę centrali związkowej COB. Pucz powitany został z zadowoleniem w Argentynie. Argentynskie radio odnotowało z ulgą, że gdyby w Boliwii doszedł do władzy rząd „lewicowy”, kraj ten stałby się ogniskiem niestabilności w skali całego kontynentu południowoamerykańskiego. Sąsiad z południa nie przeżegnał zresztą na biernym sekundożanym przewrocie w Boliwii. Zawołano tam obecność kilku oddziałów regularnej armii argentyńskiej, które pomogły w przeprowadzeniu puczu według scenariusza wypróbowanego w Argentynie w 1976 r. Wydarzenia w Boliwii świadczą więc o mobilizacji dyktatur wojskowych przeciwko zagrożeniom z północy. Za takie zagrożenie uznano samą możliwość rozszerzenia się rządów parlamentarnych, bowiem rzekoma lewicowość wybranego 29 czerwca prezydenta jest mitem.

Hernan Siles Zuazo, jeden z uczestników rewolucji w 1952 r. zajmując pozycję zbliżoną do socjaldemokracji. Nie uzyskał on absolutnej większości i jego wybór miał być potwierdzeniem na początku sierpnia przez parlament. Miał on poparcie grupowania innego uczestnika rewolucji z 1952 r., Victora Paz Estensoro, który stoi od niego znacznie na prawo.

Zainteresowanie sytuacją w Boliwii ze strony sąsiadów ze wschodu i południa wynika nie tylko z pokrewieństwa duchowego i wspólnoty interesów warstwy wyższych wojskowych, rządzących w tych krajach. Brazylia i Argentyna uważają Bolivię za ważny region swych wpływów gospodarczych, którego znaczenie rośnie wraz z rozwojem eksploatacji znajdujących się tu złóż ropy naftowej i gazu. Oba kraje żywo interesują się też niedawno odkrytymi bogatymi złóżami rudy żelaza w południowo-wschodniej części kraju — tuż przy ich granicach. Potężni sąsiedzi od dłuższego czasu rywalizują o wpływy w La Paz. O ile z rządów generała Banzer (1971—1978) przewagę zdawała się zdobywać Brazylia, to obecnie mamy — jak się wydaje — do czynienia z ofensywą Argentyny.

Szczególna sytuacja geopolityczna i gospodarcza Bolivi sprawia, że oba te kraje z łatwością narzucają się jako niezastąpieni partnerzy. Gospodarka boliwijska opiera się na eksploatacji i eksporcie bogactw mineralnych, których zbyt jest w poważnym stopniu utrudniony przez brak dostatecznie rozwiniętych połączeń transportowych. Z tego samego powodu nie jest w pełni wykorzystany także potencjał rolny kraju, gdyż najlepsze ziemie uprawne znajdują się na południowym wschodzie, prawie całkowicie pozbawionym połączeń z resztą kraju. Hamuje to



Fot. ARCHIWUM

rozwoj zwłaszcza upraw przemysłowych, takich jak trzcina cukrowa, bawełna czy soja, uprawiane w prowincji Beni. Pierwsza linia kolejowa została zbudowana ze stolicy kraju do Arliki nad Pacyfikiem przez Chilichy jako kompensata za zabranie Boliwii przed stu laty porty. Od tego czasu powstało zaledwie kilka linii na południowym zachodzie z odgałęzieniami prowadzącymi do Brazylii, Argentyny i Chile. Cała północna część kraju jest praktycznie pozbawiona jakichkolwiek połączeń kolejowych czy szosowych z resztą kraju i świata. Na pozostałym obszarze można się doliczyć około 4 tys. dróg o jako tako (na ogół bardzo złej) utwardzonej nawierzchni. Nie dziwnego, że do najbardziej rozwiniętych środków transportu należą boliwijskie linie lotnicze, najstarsze na kontynencie latynoamerykańskim, które przewożą 1/4 wszystkich ładunków. Nawet bydro z południowego wschodu trzeba transportować do większych ośrodków miejskich samolotami. Trudności komunikacyjne leżą u podstaw zacofania społecznego i gospodarczego kraju. Stwarzają też dogodne warunki do przeprowadzania zamachów stanu.

W pierwszym połowie lat siedemdziesiątych Bolivi przeżywała okres względnie pomyślnego rozwoju gospodarczego. Tempo wzrostu produktu społecznego wynosiło przeciętnie 6,7 proc. Nie zmieniło to wiele w sytuacji ludności tego zacofanego kraju. Przeciętny dochód na 1 mieszkańca wynosił nadal (w 1978 r., nieco ponad 300 dol.; niewiele to jednak mówi o poziomie życia ogółu mieszkańców, ponieważ około 2/3 ludności żyje poza zasięgiem gospodarki pieniężnej. Dotyczy to przede wszystkim Indian, żyjących na górskich terenach Altiplano, którzy stanowią ponad połowę niepełną 6-milionową ludność Bolivi. Postęp był więc udziałem cienkiej warstwy miejscowej oligarchii i kadry oficerskiej, czerniejącej bez zaradku korzystać z władzy. Przechwytywali oni dochody z upaństwowionych towarzystw górniczych i przemysłowych, rozdzielali między siebie najlepsze ziemie i wdawali się w różnego rodzaju wyraźnie nielegalne afery, w rodzaju handlu opium.

W czasie wyjątkowo długich — jak na miejscowe stosunki — rządów Banzer (1971—1978) podjęto pewne wysiłki zmierzające do stworzenia warunków rozwoju gospodarki boliwijskiej na szerszych podstawach. Zmuszała do tego sytuacja: dochody z eksploatacji rud cyny zaczęły się kurczyć.

O ile jeszcze w 1970 r. jej eksport zapewniał 45 proc. całkowitego wpływu dewizowych, to w połowie lat siedemdziesiątych udział ten spadł do poniżej 30 proc. Przyczyną tego jest stagnacja produkcji, wysokie koszty eksploatacji głęboko położonych pokładów, które nie zawsze kompensują minimalne ceny, jakie zdolna jest zagwarantować Międzynarodowa Rada Cynowa. Od czasu tzw. kryzysu energetycznego poważnie wzrosły koszty importu sprzętu górniczego, spowodowanego przeważnie ze Stanów Zjednoczonych, które też są najważniejszym odbiorcą boliwijskiej cyny. Wyczerpują się stopniowo stare zasoby, a nie było w ostatnim okresie znaczących nowych odkryć.

W tych warunkach wielką nadzieją Bolivi stały się nafta i gaz, wydobywane w rejonie Santa Cruz. Eksport ropy zapewniał w ostatnich latach już ponad 1/4 wpływów dewizowych, w porównaniu z zaledwie 6 proc. w 1970 r., a gazu — około 10 proc. Ponieważ nie ma innych możliwości transportu tych paliw z położonych daleko w głębi kraju złóż, ich jedynymi odbiorcami są właśnie Argentyna i Brazylia.

Po podwyżkach cen ropy naftowej Bolivi żyła jakiś czas w euforii boju naftowego, licząc na uruchomienie swoich zasobów ropy, które oceniano na 140 mln baryłek, zaś eksploatację rządowi szacili, że wkrótce uda się potroić wielkość zbadanych złóż. Planowano zwiększenie produkcji ropy do 180—200 tys. baryłek dziennie w 1980 r. Nadzieje te zawiodły. W 1976 r. kraj ten wydobylał zaledwie 40 tys. baryłek ropy dziennie — o 10 tys. mniej niż kilka

lat wcześniej. Przez dłuższy czas poszukiwania prowadzone przez państwowe towarzystwo YPFB (Yacimientos Petroliferos Fiscales Bolivianos) i zagraniczne towarzystwa naftowe nie przynosiły rezultatu. Tylko YPFB udało się wykryć znaczniejsze złoża ropy w Monteristo, na południowy wschód od Santa Cruz, umożliwiających zwiększenie wydobycia o jakieś 30 tys. baryłek dziennie. Łącznie z eksploatacją znanych zasobów dąboby to dośrodek skromną ilość około 70 tys. baryłek, czyli mniej niż już produkuje się w sąsiednim Peru. Tymczasem rozbudowano moce rafinerii do poziomu 45 tys. baryłek dziennie, przyspiąono do budowy nowej rafinerii w Santa Cruz i rozbudowy rurociągu z tego rejonu do chilijskiego portu Arica. Wskłada jednak na to, że przynajmniej przez najbliższe lata będą to inwestycje na wyrost, tym bardziej, że zużycie krajowe ropy poważnie wzrosło i na eksport pozostają niewiele nadwyżki.

W połowie lat siedemdziesiątych podjęto wiele nowych projektów rozwoju sektora górniczego. Obok wydobycia cyny plany objęły rozwój wydobycia cynku, ołowiu, srebra, bismutu i innych metali oraz ich przerobu. Celem tych zamierzeń było, prócz uzyskania lepszych cen w eksporcie, wyzwolenie się spod zagranicznej kontroli sprawowanej nad rynkiem cyny (głównie przez USA). Zmierzano mianowicie stworzyć własne zapasy tego metalu pozwalające na regulowanie podaży, a tym samym i cen.

Instrumentem polityki przekształcenia Bolivi z producenta i eksportera rud w producenta i eksportera wyrobów hutniczych z metali nieżelaznych stało się towarzystwo państwowe ENAF (Empresa Nacional de Fundaciones), które zdołało w 1970 r. uruchomić pierwsze hutę cyny w ośrodku górniczym Oruro. Od tego czasu zakład został poważnie rozbudowany. Państwowe towarzystwo hutnicze ENAF planowało około 1980 r. przerobić w kraju około 5/6 krajowego wydobycia rud cyny wynoszącego 30—35 tys. ton. Miałoby to uruchomić produkcję ferro-tungstenu, miedzi i antymonu. Budowała hutę cynku, która ma być zakończona w 1983 r. Z udziałem Japońskiej firmy Dowo projektowano też budowę rafinerii miedzi, która około 1981 r. miała osiągnąć moc wytwórczą 10 tys. ton, a później — 20 tys. ton.

Rząd Banzer powołał w 1973 r. do życia towarzystwo państwowe SIDERSA, którego zadaniem jest zagospodarowanie bogatych złóż żelaza, odkrytych w południowo-wschodnim rogu kraju. Plany przewidywały zbudowanie podstaw przemysłu stalowego. Do końca lat siedemdziesiątych Bolivi miała produkować 3 mln ton surowki. Przekształcała trudną do przewiezienia jest jednak kompletny brak infrastruktury w tym rejonie. Pora tym jest jeszcze problem zbytu: Bolivi sama nie jest w stanie spóżytkować swoich zasobów, a jedynymi możliwymi odbiorcami mogą być tylko Brazylia i Argentyna.

Dzięki przychylności, jaką cieszył się reżim Banzer w Stanach Zjednoczonych i innych krajach zachodnich, w pierwszej połowie lat 70-tych udało się zmobilizować poważne kapitały i zaінwestować je w sektorze produkcyjnym, choć zapewne nie wszystkie te ambitne projekty będą mogły być zrealizowane. Opracowywane jeszcze z rządów Banzer plan rozwoju gospodarczego na lata 1976—1980 przewidywał dalsze wydatki inwestycyjne w sumie 3,5 mld dol., z czego 2,3 mld miały stanowić pożyczki zagraniczne. Pogarszająca się koniunktura w świecie kapitalistycznym, wzrost kosztów importu, wzrost ciężarów obsługi zadłużenia zagranicznego oraz hamulce wewnętrzne, do których trzeba zaliczyć zacofaną strukturę społeczną i olbrzymie koszty rozbudowy infrastruktury, zwłaszcza zaś systemu transportowego — doprowadziły do zahamowania dynamiki rozwoju. W 1978 r. tempo rozwoju gospodarczego było dwukrotnie niższe niż w latach poprzednich, a w 1979 r. spadło do około 2 proc. Zmniejszyło się wydo-

bycie wszystkich ważniejszych metali, a także ropy naftowej. Deficyt bilansu płatniczego w 1979 r. oceniano na pół miliarda dolarów. Narastające trudności gospodarcze sprawiły, że generał Banzer postanowił w połowie 1978 r. przyjąć „kurs na demokratyzację”, co stało się tylko hasłem wywołującym do nowych zamachów organizowanych przez inne grupy wojskowych. Jednak nie zdołali oni utrzymać się przy władzy (ostatni z przywódców zamachu Alberto Natusch Busch rezydował w pałacu prezydenckim w listopadzie ub. roku zaledwie 16 dni). Zamęt polityczny mógł tylko pogłębić kryzys gospodarczy. Na początku br. Bolivi nie była w stanie spłacać zadłużenia zagranicznego, ocenianego na 3,4 mld dol. i musiała przystąpić do rokowań z MFV. W marcu br. uzyskała pożyczkę w wysokości 110 mln dol., co otworzyło drogę do uzyskania dalszych kredytów (50 mln dol. z Banku Światowego, 40 mln — od krajów andyjskich). Pozwoli to spłacić przypadające na ten rok raty i odsetki w sumie 300 mln dol., ale sytuacja finansowa kraju będzie nadal trudna. MFV narucił też — jak zwykle — określone warunki ograniczające swobodę w polityce gospodarczej, grożące zwiększeniem bezrobocia i ograniczeniem i tak niskich dochodów pracowników najemnych. Mianowana przez Zgromadzenie Narodowe prezydent Lidia Gueiler była zmuszona zarządzić podwojenie cen paliw płynnych, wprowadzenie restrykcji kredytowych, podwyżki podatków i devaluację o 25 proc. boliwijskiego peso.

Łatwo się domyślić, w jaki sposób będzie usiłował sprostać tej trudnej sytuacji nowy rząd wojskowy. Postara się przede wszystkim wprowadzić „porządek i dyscyplinę”. Z pierwszych wypowiedzi generała Mezy wynika, że chętnie skorzysta przy tym z doświadczeń chilijskiej junty. W pierwszej kolejności będzie się on starał narzucić „discipline” górnikom, z którymi władze wszystkich reżimów wojskowych toczyły zaciętą walkę. Stanowią oni jedyną zorganizowaną siłę opozycyjną, zdolną stawiać opór. Znacznego, choć tylko moralnego poparcia opozycji udziela także kościół katolicki, a w każdym razie jego postępowe odłamy. Wzwanie do masowego oporu ze strony prezydenta elekta nie znalazły jednak szerszego echa. Nic dziwnego: Bolivi jest krajem chłopskim, a żyjący w izolacji chłopci — w większości Indianie — traktują nieufnie wszystkich białych z miasta. Również rozbite partie polityczne nie stanowią w konfrontacji z wojskiem realnej siły. Wszystkie więc wskazują na to, że brutalna akcja wojskowa jest w stanie stłumić wszelkie przejawy opozycji wewnętrznej. Zmieniła się natomiast sytuacja zewnętrzna Bolivi. Może to utrudnić generalowi Mezie utrzymanie zdobytej władzy. Opozycja liczy na to, że uda się doprowadzić do międzynarodowej izolacji junty. Nie wiele krajów uznało nową władzę w La Paz. Do końca lipca nie zdecydowały się na to nawet Chile, mimo wyrazów przyjaźni, jakie skierował jej szef pod adresem Pinocheta. Na wniosek najbliższych Bolivi państw andyjskich Organizacja Państw Amerykańskich potępiła zamach stanu zdecydowaną większością głosów. Tylko Chile i Paragwaj głosowały przeciw wnioskowi. Tylko Brazylia, Urugwaj, Gwatemala i Argentyna wstrzymały się od głosu, pozostałych 16 państw obecnych na posiedzeniu OPA 25 lipca, w tym Stany Zjednoczone, głosowały za potępieniem junty. Sekretarz stanu Muskie zapowiedział cofnięcie pomocy gospodarczej i wojskowej w wysokości 20 mln dol. rocznie i zredukowanie personelu ambasady USA w La Paz. Nie jest to może czynnik decydujący, jednak izolacja międzynarodowa może potęgować trudności wewnętrzne, wobec których niechybnie musi stanąć wyraźnie faszystowska junta. Nie należy wykluczyć powstania resentymentów w samej armii. Na przykład, deklaracje przyjaźni wobec Chile wzbudziły już zastrzeżenia części kadry oficerskiej, która nie chce zapomnieć o odciętym przez Chilichyżków dostawie do Pacyfiku i okrojeniu wielkiej Bolivi.



W kaufhallach można kupić wszystko...

Fot. ADN

UDA WAJ ZDROWEGO!

„Nie bronię ekonomistów” — to tytuł wywiadu udzielonego przez prof. Pawła Bożyka redakcji „Razem”. Nie musiał zresztą tego robić, bo przedstawicielka redakcji, Krystyna Kamińska specjalnie naszej profesji nie atakowała. Natomiast chciała się od swego rozmówcy dowiedzieć, co ekonomiści powinni i co mogą zrobić dla lepszego funkcjonowania naszej gospodarki.

Prof. Bożyk zastrzegł się, że nie wszystkie decyzje gospodarcze, a nawet chyba nie ich większość, podejmują ekonomiści. (Muszę przyznać, że trochę mi w tym momencie ułożyło się, choć analiza tego problemu została przerwana na etapie ilościowym i nie dowiedzieliśmy się, czy ta część decyzji, które podejmują ekonomiści to decyzje mądre, czy też nie za bardzo).

W poszukiwaniu rozwiązań pozytywnych, rozmówca „Razem” zwrócił uwagę na trzy problemy.

Ponieważ nie jesteśmy w stanie przewidzieć zmian w setkach i tysiącach czynników, zarówno zewnętrznych jak i wewnętrznych, które mają wpływ na naszą gospodarkę — konieczne jest posiadanie rezerw, celowo gromadzonych na wypadek nieprzewidywanych okoliczności.

Drugi problem — to dopasowanie metod planowania i zarządzania do obecnego poziomu wiedzy i technik planistycznych. Sądzę, że chodzi również o dopasowanie tych metod do osiągniętego poziomu rozwoju gospodarczego i skomplikowanej sytuacji w ekonomice światowej. Kierunek zmian — to zwiększanie samodzielności przedsiębiorstw. Jest to warunek poprawy efektywności gospodarowania. Omawiając to zagadnienie prof. Bożyk stwierdził, że przy scentralizowanym systemie planowania i zarządzania niewielkie znaczenie miał rachunek ekonomiczny, a narzędzia ekonomiczno-finansowe pełniły funkcje pasywne. Jest to opinia dość powszechna, ale wydaje mi się, że tylko w części słuszna. Po prostu ludzie zawsze liczą, co im się opłaca, a co nie, bez względu na to jak scentralizowany jest system zarządzania. Narzędzia ekonomiczno-finansowe są pasywne tylko w tym sensie, że nie zmuszają do poprawy efektywności gospodarowania, mogą jednak — i niestety często tak się dzieje — zachęcać do działań odwrotnych. I tak np. przyjęcie wartości produkcji sprzedanej jako ważnego wskaźnika, od którego uzależniony jest praktycznie wzrost funduszu płac, zachęca do produkcji materiałochłonnej, a zniechęca — do pracochłonnej, choć doskonale wiadomo, że w chwili obecnej najważniejszym odcinkiem walki o efektywność powinno być zmniejszenie materiałochłonności produkcji. Dla wielu przedsiębiorstw takie działania byłoby jednak sprzeczne z ich interesem i sprzeczne z regułami gry, tworzonymi przez te pozornie pasywne narzędzia finansowo-ekonomiczne.

Natomiast trzeba się w pełni zgodzić ze stwierdzeniem, że w gospodarce planowej większa swoboda nie powinna oznaczać żywiołowości, a więc, że bardziej samodzielnymi organizacjami gospodarczymi trzeba sterować przez odpowiednie parametry, przez wykorzystywanie narzędzi ekonomiczno-finansowych zgodnie z interesem ogólnym. Wymaga to oczywiście i rozwiązania trzeciego problemu podniesionego w wywiadzie — pogłębienia wiedzy o racjonalnym gospodarowaniu w całym społeczeństwie.

I w tym wypadku jednak muszę wtrącić swoje trzy grosze. Wzrost umiejętności posługiwania się parametrami zamiast nakazami musi nastąpić przede wszystkim w instytucjach centralnych, które zresztą prof. Bożyk wymienił. Niejedną bowiem próbą zmian w systemie zarządzania poniosła porażkę dlatego, że takich precyzyjnych umiejętności zabrakło, że przełożenie celów planu na mierniki jakościowe, a nie ilościowe było za mało precyzyjne. A przedsiębiorstwa, choć o ich ekonomicznym przygotowaniu nie zawsze mamy dobre zdanie, potrafiły ten brak precyzji znakomicie wykorzystać na swoją korzyść, nie zawsze pokrywając się z korzyściami ogólnospołecznymi. Czy tylko jednak do przedsiębiorstw trzeba mieć o to pretensje?

S.C.

JEDEN z naszych znakomych reporterów powiedział kiedyś, że zajmujący reportaż napisać można nawet z podróży pociągami PKP. Będąc więc częstym klientem kolei, nieraz chowałem w rekawie notes z długopisem, próbując chwycić pociągowe życie na gorąco. Nie wiem — może pociąg już nie tak, może długopis (czytaj: pióro) mam nie taki, ale owo życie na gorąco wydaje mi się jeszcze nudniejsze niż serial pod znanym tytułem. Podróż jest podobna do podróży. Weźmy 15 lipca. Środek lata, a na warszawskich dworcach z głośników płyną informacje, że „pociągi będą odjeżdżać i przyjeżdżać z nieograniczonym opóźnieniem”. Wydawałoby się, że już, już jest jakiś temat, ale wcale nie, bo niepotrzebnie straszono ludzi, pociągi zjawiają się z opóźnieniem jednak ograniczonym, i to najwyżej do 120, 180 minut. W „przyczynach technicznych” pasażerowie i tak nie wierzą, ale czekają cierpliwie, bo zdają sobie sprawę, że dla PKP (jak i PKS) wciąż trwa zima stulecia. (A co? Czy pan może stwierdzić z czystym sumieniem, że lato już przyszło? — zapytał ktoś).

Wreszcie jedziemy i teraz ciekawski reporter nadstawia uszu, bo ludzie rozmawiają. Niestety — jak w podróży przed tygodniem, dwoma czy trzema, wciąż o tym samym. O czym? O tym co ich boli. Nie jest to formułka, za pomocą której reporter określa sytuację, kiedy ludzie dyskutują z zafascynowanymi minami, pryncypalnie i konstruktywnie, o niedomaganach w naszej codzienności i w swoim miejscu pracy. Nie. Oni mówią o tym, co ich boli nie w przenośni, ale dosłownie, fizycznie. Nie mówią też, co byłoby dla reportera gratką, o ranach czy bliznach, według Mrożkowskiego: „O tu, wybił, panie, za wolność wybił!” Mówią bowiem o korzonkach, wrzodach na żołądku, znerwicowanych sercach i wypadających zębach. Te korzonki przebiegli w niedogrzanym

biurze i z braku ciepłych majtek, wrzody mają z obciążenia, serca znerwicowane przez mężów-pijaków, a zęby spróchniały z niedbalstwa. Z wielką lubością wyciągają na wierzch te swoje wrzody, wrzody swoich krewnych i znajomych, porównują je, jakby się licytowali.

Powiem, że przesadzam. A więc zastanówcie się przez chwilę, czy aby nie wiecie, co dolega waszym kolegom z pracy, nie mówiąc już o ich dzieciach. No proszę, wiecie wszystko w najdrobniejszych detalach. I następny test. Co odpowiecie, kiedy się na wasz widok powie: „Coś pan(i) nieszczególnie dziś wyglądasz”? Założę się, że zawsze cięsz was takie pytanie, zaraz wtedy przywołujecie jedną z waszych licznych dolegliwości, choćby akurat teraz nie była ona wcale dokuczliwa. A potem odetchniecie głęboko, bo wiadomo, że dziś nie musicie się zbytnio wysilać. Sześć przecież wie co to znaczy, sam bowiem skarży się na to samo.

Pewien lekarz zwierzył się kiedyś w mojej obecności z zaskoczenia jakiego doznał będąc na praktyce w jednym z kł. Pewnego ranka ujrzał swego kolegę, tubylca, z podkrążonymi nieco oczami. Powitał go więc zwyczajowym zwrotem: „Coś nieszczególnie...” (itd). Spodziewał się, że tamten jak to bywa u nas, filuterie przymruży oko i powie: „No wiesz, wczoraj były urodziny Heńka”, albo skrzywi się i jęknie: „Znowu ta anemia”. W obu przypadkach oznaczałoby to naturalnie: dziś na mnie nie liczyć, jestem usprawiedliwiony. Ale nie. Tamten po prostu omal się nie obraził, zapewniając gorliwie, że jest zdrow jak koń.

I tu dochodzimy do moralu. W owym kraju, mieć zle samopoczucie, to jest w złym stylu. Narzekać można wobec żony i lekarza. W pracy zaś obowiązuje uśmiech, choćby nawet wątroba rozkładła się na czynniki pierwsze. U nas za to odwrótnie. Z choroby, szczególnie niegroźnej, obnosimy się jak z orderem. Najbar-

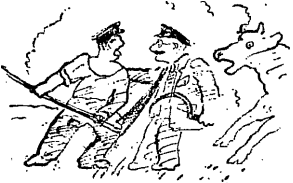
dziej modne są dziś frustracje, depresje (świadczą, że człowiek jest wrażliwy), a jeszcze lepiej chwilać się kacem, tak potwornym, że ścina z nóg. Wtedy jesteśmy pewni, że wszyscy ze zrozumieniem pokiwają głowami, usprawiedliwią nas, osłonią przed niewyrozumiałością, nawet zrobą herbatę.

Nie chcę twierdzić, że jest to przyczynkiem do naszego narodowego charakteru. Nie chcę snuć rozważań, skąd wzięły się te różnice, jaki wpływ ma ta cecha rozkładania się nad cierpięciami na społeczną produktywność. Zakończę zawołaniem: udawaj zdrowego! Nie ze względu na społeczny koszt, a po prostu dlatego, że udając zdrowego, człowiek naprawdę czuje się lepiej. A jeśli na to już was nie stać, to przynajmniej na Boga, nie podsuwajcie mi słuch roplejących wrzodów wprost pod nos, nie licząc na litość, a w rozmowach w pociągu zajmijcie się czym innym.

(sław)

Żywotik gospodarczy

• Czasopismo kolejarskie „Sygnały” domaga się rozstrzygnięcia sprawy, czy kolejową łakę i inne nieużytki przy stacji Rzeszyca ma prawo



kosić azyrny ruch Jarecki, który ma krowę, czy naczelnik stacji, który krowy nie ma, ale ma za to większe stanowisko. Naczelnik trawę kosi i sprzedaje podwładnym. Chodzi oczywiście o walkę z pewnymi nadmiernymi przywilejami, które są związane z niektórymi stanowiskami.

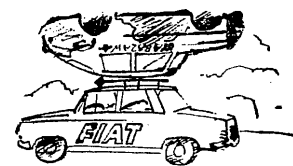
• Przyczynkiem do kwestii dlaczego brakuje farb na rynku: „Polifarb” — fabryka w Łodzi — zamówił w Japonii chlorokauczuk niezbędny do produkcji. Japończycy dostarczyli ten produkt do wskazanej, najbliższej od fabryki stacji kolejowej Karolew. Tam ten transport stoi w wagonach, których nie można rozładować, bo nie ma urządzeń, by rozpakowywać zawartość kontenerów. Potrzebne

maszyny są na sąsiedniej stacji w Olechowie, gdzie wielkim nakładem kosztów niedawno zbudowano największą stację kontenerową w Polsce. Tam jednak wagonów nie można przelożyć, gdyż sprzeciwiają się temu przepisy kolejowe. Wagon ma skończyć podróż tam, gdzie napisał. Fabryka zaś wyjaśnia, że wskazała Karolew, a nie Olechów, bo przecież kto mógł przewidzieć, że skończą załadunek chlorokauczku w kontenerach. Jest więc pat, a nie ma farb oraz winnych. Przykład ten pokazuje, jak niezwykle skomplikowana i od wielu czynników zależna jest najprostsza nawet manipulacja w gospodarce.

• Przerwywacz światła kierunkowskazów kosztował 69 zł. Ostatnio użytkownik dopisał na etykiecie z nazwą „przerwywacz” przymiotnik „uniwersalny” i w związku z tą zmianą bierze zań 176 zł. Producentem jest Rzemieślnicza Spółdzielnia Elektryków w Warszawie. W obliczu krytyki, że bierze ona ciężkie pieniądze za tak durne słowo o niejasnej w odniesieniu do przerwywacza treści (od ochrzestzenia go uniwersalnym przerwywaczem nie stał się niczym ponadto i nie umie niczego więcej jak tylko przyzywać w aucie światła kierunkowskazów),

producent odpowiada, że taka krytyka jest w rozbrajanie z logiką. Prasa napisała bowiem także, że przerwywacz uniwersalny przepala się o wiele szybciej niż ów tańszy, nie użytkowany, a więc jakaś w nim zmiana musiała być widać nastąpić.

• Ponieważ minęło już wiele lat od zaniechania produkcji „Warszawy” FSO zdecydowała się przez wstrzymanie zamówień i zapatrzenia z kładu „Polmo” w Węgrzewie — spowodować przerwanie tam produkcji elementów karoserii do „Warszaw”. Niezaspokojone więc będzie zapotrzebowanie na rok przyszły, szacowane na 32 mln złotych,



zwiększy ciśnienie popytu na nowe a to oznacza, że stare ale jare „Warszawy” szybciej wyjdą z użytku co

samochody. Kontrargument FSO: po co importować blachy, żeby przedłużyć życie wrakom? Czyż jednak nie mamy blach krajowych, z których jeszcze można by jakiś czas zrobić części karoserii skrośnionego auta? Tak pięknie przecież rozwinęliśmy to hutnictwo.

• Ludzie trzydziestoletni pamiętają czasy, kiedy istniała wolność stalowania porcji lodów takiej wielkości, na jaką miało się apetyt. Dziś racja lodów określana jest arbitralnie przez sprzedawcę. Kiełki nowego w sprawie nawet tak drobnej godne są pieczołowitej uwagi: w Poznaniu, w pawilonie spożywczym na Osiedlu Kopernika sprzedaje się oto lody duże lub małe. Zbyt dużą dawką wolności ludzie mogliby się zakrztusić, więc zakres swobód reguluje się i ogranicza. Małe lody wolno nabywać tylko małym ludziom, a więc dzieciom, a dużym sprzedaje się tylko duże. Sprzedaż lodów w porcjach proporcjonalnych do rozmiarów nabywcy tę niesie dla klientów dolegliwość, że apetyt na lody jest akurat odwrotnie proporcjonalny do wielkości spożywcy, więc i jego wieku. Małi na-



bywcy pragną lodów jak największych, a duzi jak najmniejszych. Widzimy na tym przykładzie potwierdzenie zgodnej z frommizmem konstatacji, że przybór wolności może biec na przekór ludzkim preferencjom.

Rys. A. PIWONSKI

gielda samochodowa

Na warszawskiej giełdzie samochodowej notowano (ceny wywoławcze):

FIAT 126p (650) fabrycznie nowy — 183 tys. zł; z 1979 roku — 160 tys. zł; 1978 roku, po 36 tys. km — 155 tys. zł; z 1977 roku — 132 tys. zł; z 1976 roku (model 600) — 112 tys. zł (poszedł za 106 tys. zł); z 1975 roku — 99 tys. zł; z 1974 roku — 83 tys. zł;

FIAT 125p (1500), po 2 tys. km — 378 tys. zł; z kwietnia 1980 roku — 375 tys. zł; z 1979 roku, po 18 tys. km — 335 tys. zł; z 1978 roku, po 33 tys. km — 285 tys. zł; z 1977 roku — 225 tys. zł; z 1976 roku, po 56 tys. km — 205 tys. zł; z 1975 roku — 188 tys. zł; z 1974 roku, nowa blacharka — 178 tys. zł; z 1973 roku — 135 tys. zł;

SYRENA 105L. nowa — 138 tys. zł i 135 tys. zł; z 1978 roku — 108 tys. zł; z 1977 roku, model standard — 96 tys. zł; z 1976 roku — 75 tys. zł; z 1975 roku — 67 tys. zł; z 1974 roku — 62 tys. zł; model 104 z 1973 roku — 48 tys. zł;

WARTBURG 353, wersja luksusowa z 1979 roku — 318 tys. zł; z 1978 roku, standard — 299 tys. zł; z 1977 roku — 288 tys. zł; z 1974 roku — 183 tys. zł; z 1973 roku, pierwszy właściciel — 130 tys. zł; z 1971 roku — 110 tys. zł;

SKODA 105S z 1979 roku — 280 tys. zł; z 1978 roku — 260 tys. zł;

z 1977 roku — 185 tys. zł; z 1975 roku, model S 100L — 165 tys. zł;

TRABANT 601 z początku 1980 roku — 185 tys. zł; z 1977 roku — 142 tys. zł; z 1976 roku — 137 tys. zł; z 1973 roku — 90 tys. zł; z 1971 roku — 65 tys. zł;

ZASTAWA 1100P z 1980 roku — 340 tys. zł i 335 tys. zł; z 1979 roku — 285 tys. zł; z 1978 roku — 265 tys. zł;

ZAPOROŻEC z końca 1978 roku — 175 tys. zł; z 1977 roku, po 41 tys. km — 155 tys. zł;

FIAT 132 (1800) z 1975 roku, po 88 tys. km — 305 tys. zł;

VOLVO 142E z 1972 roku, po 115 tys. km — 319 tys. zł;

VW-70 (1600) z 1972 roku, po 56 tys. km — 260 tys. zł; model 411 LE (1670 ccm z 1970 roku, po 124 tys. km — 228 tys. zł;

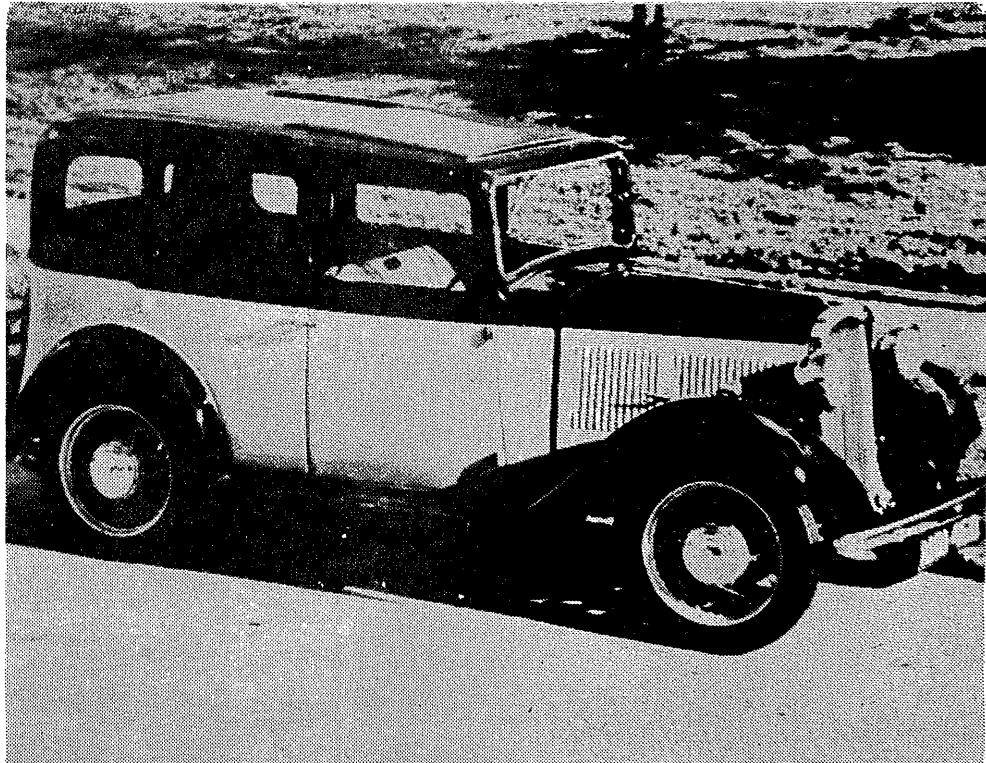
AUDI 80 LS z 1977 roku, po 96 tys. km — 405 tys. zł; z 1976 roku, po 56 tys. km — 500 tys. zł;

FORD-TAUNUS XL-160 z 1972 roku — 295 tys. zł;

FORD-COUGAR XR7, po 110 tys. km — 350 tys. zł;

MERCEDES 220 D z 1972 roku — 430 tys. zł;

(jod) Hilman Minx z 1934 roku



ŻYCIE GOSPODARCZE
tygodnik społeczno-gospodarczy

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stefan Ancerewicz, Jacek Boldok, Stanisław Chelkowski (I zastępca redaktora nacz.), Andrzej Chmielewski, Zofia Długosz, Władysław Dudziński, Jerzy Dzieciolowski (zastępca redaktora nacz.), Lech Froelich, Maria Gawrońska (redaktor techniczny), Jan Głowczycki (redaktor naczelny), Teresa Górnicka, Aleksander Jędrzejczak, Paweł Kapuściński, Krzysztof Krauss, Anna Kusko, Andrzej Lubowski, Marcin Makowiecki, Eugeniusz Możejko, Andrzej Nalecz-Jawek, Grzegorz Płarski, Andrzej Piwoński (red. graficzny), Zuzanna Regel, Marian Sikora, Karol Szware (zastępca redaktora nacz.), Elżbieta Tadeusik (zastępca sekretarza redakcji), Stefan Zubczewski (fotoreporter).

ADRES REDAKCJI: 00-081 Warszawa, ul. Hoża 35 (skrytka pocztowa nr 7 — 00-350 Warszawa). Telefony: redaktor naczelny i sekretariat 25-05-28, zastępca redaktora naczelnego 21-55-57, sekretarz redakcji 25-83-92, redakcja: 25-53-42, 25-35-54. Nie zamówionych artykułów redakcja nie zwraca, a w razie opublikowania zastrzega sobie prawo ich skracania.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miastach wojewódzkich. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJE: Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11.

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: od 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego oraz cały rok następnego; do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie — 78 zł, półrocznie — 156, rocznie — 312 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych. Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyła za granicę przyjmujące RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-350 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV Oddział Warszawa Nr 1153-20105-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyła za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 00-350 Warszawa, ul. Towarowa 28.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” — 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Numer indeksu 38506.

Zam. 2053. O-52